Nr. 3. Lwów, dnia 1. Marca 1882. Rok V.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

WSPOMNIENIA z WYPRAWY MYŚLIWSKIEJ do SYRYI ROKU 1881.

PRZEZ

Leopolda hr. Starzeńskiego.

(Ciąg dalszy).

Dzień 7 Kwietnia był dla mnie dniem niezwykłego tryumfu. Po zadaniu moich leków febra opuściła szczęśliwie naszego gospodarza, a udało mi się także wyleczyć jego żonę z silnego bolu zębów. Wieść o tem po całej Antiochii rozniosła stógębna fama. Stałem się od razu sławnym z Europy przybyłym lekarzem. Jest tu wprawdzie lekarzy aż dwóch, jeden Włoch, drugi Amerykanin, ale żaden z nich z pewnością żadnej akademii medycznej nieodwidzał. Eskulapom tym zaprzeczają nawet, że są chirurgami, pijawki i ustawiczne puszczanie krwi, oto ich *régime* jedyny. Opowiadano mi, że jeden z nich choremu na tyfus tak silną dozę krwi upuścił, że ten chory pod lancetem skonał. Moja kuracya wywołać więc tam musiała niezwykłe wrażenie. Febry w tej porze roku bardzo panują w Antiochii, chorzy zaczęli się więc zchodzić używając protekcyi synów naszego gospodarza, i zasięgali mojej lekarskiej rady. Skuteczność środków homeopatycznych zadawanych na febrę jest dowiedzioną. Znam środki, które się zadaje, nic więc dziwnego, że długo leczeni, a raczej nieleczeni wcale przez lekarzy antiochijskich pacyenci odzyskali zdrowie. Pół-biedy jeszcze, pokąd szło o febrę, ale moja sława lekarska do takich urosła rozmiarów, że było wyraźne oblężenie przed drzwiami naszego domu. Chorzy zchodzili się z różnych stron, by się radzić cudownego lekarza. Nieumiejąc mówić po arabsku, musiałem rozmawiać za pomocą tłómacza, a tej roli, z uprzejmości podejmował się po kolei to p. Tosselli, to znów p. Ponce, syn konsula francuskiego. Napróżno się wypraszałem, oświadczając, że lekarzem nie jestem, pacyenci zaklinali. bym ich leczył, skoro już tyle mi się udało cudownych zrobić tam kuracyi, bo swoim lekarzom nie ufają wcale. Tak miewałem po kilkudziesięciu pacyentów i pacyentek dziennie. Radzono mnie się w chorobach, o których istotnie nawet pojęcia niemiałem, a gdym kogo odsyłał do miejscowego lekarza, odpowiadano mi zawsze, iż mi trzykroć więcej zapłacą niż tamtym, bylem ich tylko leczył. Gdy się jeszcze przekonano, że za moją kuracyę nie przyjmuję zapłaty, to podziw niemiał już granic. Panie ofiarowały mi jako honorarium bukiety z najpiękniejszych kwiatów i łaskawe spojrzenia, stokroć milsze, niż największe honorarium lekarskie. W rzędzie moich pacyentek przybyła także jedna Turczynka, przyprowadzona przez swego ojca, a chora na febrę. W obec chrześcian niewolno turczynkom zrzucać z twarzy zasłony, z wyjątkiem lekarza. Chociaż świadkiem moim Bóg i mój tłómacz p. Toselli, żem z góry

oświadczył, iż lekarzem nie jestem i wymawiałem się od kuracyi, sam ojciec zdiął zasłonę z twarzy córki, ale p. Toselli jako tłómacz a nie lekarz do drugiego pokoju wyjść musiał. Była to słuszna ojcowska kokieterya, Turczynka w istocie bardzo była piękną. Tak to, dzięki Hannemana nauce, doszedłem do zaszczytu widzenia na legalnej drodze odsłoniętego oblicza Turczynki. Jak tu niewierzyć w homeopatyę? Febra mojej pięknej Turczynce szczęśliwie nie powróciła. Nazajutrz ojciec przybył do mnie z podziękowaniem, błogosławił mi w imię Proroka, i wręczył śliczny bukiet przysłany mi przez pacyentkę. Gdy szedłem z wizytą do państwa Merelle, zabiegła mi drogę jakaś stara kobieta Arabka, niosąc na rękach córeczkę, piękną jak anioł dziecinę, bardzo chorą i błagała o pomoc. Niewiem co brakowało temu dziecku, pomimo pomocy tłómacza zrozumieć niemogłem. Serce mi się krajało, że biednej dziecinie pomódz niemogę, i odesłałem ją do miejscowego lekarza. Biedna matka mi oświadczyła, że wie dobrze, iż dziecko jej zaraz by umarło, skoroby je zaniosła do lekarza miejscowego Włocha lub Amerykanina, a jeśli cudowny lekarz europejski niechce jej kurować, to dziecko zginie. Cóż było robić, by uspokoić biedną matkę, zadałem choremu dziecku akonitu na gorączkę, która była bardzo silną. Nazajutrz przybyła matka z córeczką i przyniosły mi bukiet z podziękowaniem, córeczka szczęśliwie wyzdrowiała. Wezwany byłem do ciotki naszego gospodarza, tam zastałem śliczne jej trzy córeczki, z których dwie były chore na febrę. Apartament z przepychem umeblowany w orientalnym stylu, wszędzie marmury, mozaiki i pyszne perskie dywany. Panny wychowane w zakładzie naukowym w Beyrucie, bardzo wykształcone, mówiące europejskimi językami, tłómacza niebyło więc potrzeba. Pacyentkom zadałem lekarstwo na febrę, i nie wiem co się dalej stało. Przyprowadzono mi raz człowieka pięćdziesięcio-letniego Araba, a gdym zapytał jaką czuje dolegliwość, odpowiedziano mi, że nic nie widzi. „A więc jest ślepy?“ zapytałem. — „Tak jest“. — „A od dawna?“ — „Od urodzenia“. — Około 80 pacyentów przybyło do mnie jednego dnia. Cóżbyto było za pole do popisu i droga do bogactw dla prawdziwego lekarza! Nareszcie ta moja praktyka lekarska, któraby była mogła uszczęśliwić każdego rzeczywistego Eskulapa, zaczęła mnie na dobre niecierpliwić. Zacząłem się chować przed moimi pacyentami, jakby pies przed muchami, a moi towarzysze serdecznie śmiali się z moich kłopotów. Dopiero nasz wyjazd z Antiochii kres położył mojemu mimowolnemu medycznemu zawodowi.

Nastąpił on dnia 9 Kwietnia. Nasi poczciwi znajomi żegnali nas ze łzami w oczach, jakby bliskich krewnych, a starszy syn naszego gospodarza, p. Ouard i młody p. Ponce, syn ex-konsula francuskiego, postanowili odprowadzić nas do Alexandretty, a to dwa dni jazdy konnej. Kajmakan tutejszy przysłał nam swego Kawasa, jako eskortę, a gdyśmy się wymawiali, oświadczył, iż jest obowiązkiem jego tak uczynić względem podróżnych posiadających firman sułtański. Noc spędziliśmy znowu w czarownym Bejlanie. Bardzo byłem szczęśliwy, że tę uroczą miejscowość raz jeszcze oglądać mogłem. Spotkaliśmy tam dwóch podróżujących Czechów, powracających z Aleppu. Nazajutrz rano przybyliśmy do Alexandretty, gdzieśmy się udali na pokład rossyjskiego statku „Nahimow“, udającego się do Beyrutu. Porządek na tym statku jest wzorowy i uprzejmość wielka. Chociaż morze było dość spokojne, moi dwaj towarzysze podróży chorowali przez noc całą. Do dnia zawinął statek do Lattakii, ostatni to cel mojej podróży. Ze wszystkich towarzyszy moich, którzy jak listki jesienne po kolei odpadali od naszej wyprawy, w miarę jak wiał na nie wiatr azyatycki, niosący znużenie i demoralizacyę, dwóch jeszcze pozostało: Hulimka i Brzostowski. Nieliczę Janowskiego, który jako przywykły do tutejszego klimatu i niewygód, wszystko mężnie znosić umie. Otóż niestety w porcie Lattakii i tych dwóch ostatnich, przybyłych z Europy towarzyszy pożegnać musiałem. Odpłynęli oni bowiem prosto do Beyrutu, a ztamtąd do Palestyny. Stało się to, co przewidywałem, że ja sam jeden myśliwy europejski na Syryjskich wybrzeżach pozostałem. O odwrocie wcale jeszcze myśleć nie chciałem, gdyż do zakreślonego przezemnie programu brakował jeszcze szakal i antylopa. Bez tej zdobyczy postanowiłem nie wracać do Europy. Lattakija, dawna Laodicea, dziwne sprawia wrażenie. Jestto przecież jedno z najodleglejszych miast Wschodu, stara dziejowa arystokratka, a ma pozory europejskiego dorobkiewicza. Niewiem dla czego zrobiła na mnie wrażenie eleganckiej damy z Zachodu, która z kaprysu tylko fezem wschodnim okryła głowę wiedząc, że jej z tem będzie do twarzy. Lattakija jest bez zaprzeczenia jedynem może eleganckiem miastem na Wschodzie. Umarła stara Laodicea, a pozostały po niej pamiątki w postaci bram tryumfalnych, gruzów starych świątyń i baszt starożytnych zamków, dziś młoda zalotnica Lattakija cierpi tylko w swojem muzeum, a sama mieszka w wykwintnym przystrojonym buduarze. W istocie Lattakija jest jedynem może miastem na Wschodzie, gdzie europejski komfort zlał się w pewną harmonię ze zbytkiem Wschodu. Niezwykły widok przedstawia to miasto, czyste, z szerokiemi ulicami, opasane wiankiem ogrodów cytrynowych, granatowych i pomarańczowych; z portem obszernym, w którym nieustający ruch panuje. Okolica przytem czarownie piękna, i klimat najzdrowszy. Niedziw więc, iż bardzo wiele rodzin europejskich, skazanych na życie na Wschodzie, tę sobie oazę za siedlisko obrały, i już drugiem i trzeciem żyjąc tu pokoleniem zapomniały o swej dawnej ojczyźnie i z dumą się głoszą Lattakijskimi obywatelami. W istocie europejskie towarzystwo ma tu świetnych przedstawicieli. Konsulowie wszystkich państw europejskich są tu zebrani, wszyscy prawie ludzie bardzo majętni, żyją tu z przepychem i bardzo wykwintnie. Podczas mego kilkotygodniowego pobytu w tem mieście miałem sposobność przekonać się o tem, będąc tam codziennym prawie gościem. Pałace konsulów panów Geoffroy, Lanus i innych zachwycały mnie urządzeniem i elegancyą. Śliczne mozajki, białe i czarne marmury, meble pokryte perskiemi dywanowemi materyami, werandy przemienione w ogrody najrzadszych krzewów i kwiatów, a śród nich aquaria z wodotryskami, wszystko to składa się w dziwnie harmonijną i imponującą całość. W niczem też nie ustępują im pomieszkania miejscowych mieszkańców bogatych Arabów, którzy co do form towarzyskich w niczem nieustępują Europejczykom, mówią naszymi językami i są to ludzie bardzo wykształceni. Pierwszy raz w Lattakii poznałem życie Wschodu w całych jego dodatnich formach. Niedziwię się wcale, że przed laty przyjaciel mój serdeczny, a znany artysta muzyk Władysław Tarnowski, będąc w Lattakii, powziął był zamiar po skończonej swej podróży tamże powrócić i zabawić czas dłuższy, by w tej czarującej miejscowości zaczerpnąć natchnienia i zasobów do prac dalszych. Niestety! śmierć przedwczesna niedała mu urzeczywistnić tego zamiaru. Zamieszkałem w konsulacie hiszpańskim, w domu państwa Karolów Brzozowskich, gdzie prócz staropolskiej gościnności zastałem jeszcze i elegancyę francuską. Pani Karolowa pochodzi z francuskiej rodziny, ale urodzona w Syryi, jestto osoba bardzo miła i wykształcona. Tu dopiero dowiedziałem się, że wypadek, który miał Kara Audżi podczas

powrotu naszego z Akbes, o wiele groźniejsze przybrał rozmiary niż nam się z razu wydawało. Dostawszy się nareszcie do Alexandretty i wsiadłszy na pokład francuskiego statku, zawezwał tamtejszego lekarza, który uznał, iż dwa żebra są złamane. Obandażowanego starannie odwieziono do Lattakii. Zastałem go bardzo jeszcze cierpiącego, i z początku w dalszych moich wycieczkach myśliwskich niemógł mi towarzyszyć. Niebędę czytelników nudzić szczegółowym opisem tych wypraw moich, które w promieniu około Lattakii przez miesiąc jeszcze odbywałem. Były to już wycieczki moje osobiste, nienależące do wyprawy Syryjskiej, podjętej przez całe nasze towarzystwo myśliwskie. Moi towarzysze mnie opuścili i sam tylko pozostałem. W tych wycieczkach towarzyszył mi z początku tylko p. Janowski, a czasem panowie Geoffroy i Michel, później Kara Audżi. Nieodstępnym moim towarzyszem był młody chłopiec Arab George Matta, sierota wychowany przez zamieszkałego tu pułkownika angielskiego pana Pollard, sławnego myśliwego. Chłopiec ten wychowywał się z jego dziećmi, towarzyszył mu we wszystkich myśliwskich wycieczkach i nauczył się po angielsku. Później, gdy pułkownika powołano do Indyi, biedny sierota pozostał bez opieki. Przydano mi go do pomocy w moich wyprawach. Tu chłopczyna dał mi dowody niezwykłego sprytu, poczciwości i odwagi, i tak się do mnie przywiązał, że mnie już opuścić niechciał, i żadnych niestawiając warunków, zażądał, bym go wziął ze sobą do Europy, by przez całe życie ze mną już pozostać. Śmiało mogę powiedzieć, iż niespotkałem dotąd chętniejszego, uczciwszego i bardziej przywiązanego sługi. W krótkości nadmienię, iż w ciągu tych wypraw moich udało mi się zdobyć: 2 antylopy, 1 wilka, 5 szakali, 1 żbika *(felis Chaus)*, którego zabił Janowski, kilka zajęcy, 1 frankolina, 36 przepiórek, 10 chruścieli, 1 orła i kilka jastrzębi. Wspomniał już Kara Audżi w liście swoim pisanym do Redakcyi „Łowca“, o strzale moim do wilka goniącego za stadem antylop. Padł on na miejscu na odległość 217 kroków, przeszyty przez komorę kulą expressa z pracowni Wiśniowieckiego. Był to w istocie najpiękniejszy strzał, jaki mi się kiedykolwiek zrobić udało.

Wspomnieć tu muszę jeszcze tylko o rodzaju polowania, którego opis nie jednego z braci moich w Nemrodzie nieraz z pewnością niemało zaciekawił, a którego zaznawszy do przesytu tu najdokładniejsze mogę zdać sprawozdanie. Jestto polowanie z sokołem. Widywałem nieraz na starych rycinach, i czytałem o tem tylokrotnie. Walka sokoła z czaplą należała niegdyś do pierwszorzędnego sportu. Niewiem jak się te walki niegdyś odbywały, ale opisuję te polowania, jak się odbywają dzisiaj w tej części Syryi, która jest „*par excellence*“ krajem sokolnictwa. Pewnie nie ma drugiej okolicy w świecie, gdzieby się więcej zajmowano polowaniem z sokołami, jak w Lattakii Aleppie, Diarbekirze i t. d. Lattakija, położona nad zatoką morską, okolona rozległą pustynią, której kres stanowią góry z najwyższym szczytem góry Cassius, przez Arabów zwanej Dzebel-Akra, nad rzeką bagnistą Nahr-el-Kybir, łączy wszelkie warunki myśliwskiego Eldorado w sobie. To też zimowe ciągi słonek bywają tam bajeczne. Z opisów przysłanych do „Łowca“ mogli się o tem czytelnicy przekonać. Inne ptactwo przeciągające również tam zapada w ilości, o jakiej my biedni mieszkańcy północy pojęcia nawet nie mamy. Nieprzywykli do broni palnej, a zresztą najgorsi strzelcy w świecie Arabowie wyłącznie tu odbywają polowania z sokołami na to wędrowne ptactwo. Czyby kto uwierzył, że w takiem mieście, jak Lattakija, jest z kilkuset myśliwych, z których każdy ma doskonale ułożonego sokoła, i oczekuje niecierpliwie przelotu ptactwa, ażeby wyruszyć w pole? Sokoł Syryjski, używany do tych łowów, należy do rodzaju jastrzębi całkiem nieznanych w Europie. Jest z ubarwienia podobny do jastrzębia gołębiarza *(falco palumbarius)* tylko o wiele mniejszy. Łowionym tu bywa w sposób nader łatwy, bo na lep wyrabiany z żywicy jakiegoś drzewa, które tu pospolicie rośnie, a którego nazwiska zapamiętać niemogłem. Zchwytany ptak do dni kilku ułaskawia się doskonale, poczem myśliwy zaczyna go układać do polowania. Do dwóch tygodni edukacya ukończona, i ptaka brać można na łowy. Przekonałem się o tem naocznie. Zaproszony przez konsula austryjackiego w Lattakii, który tu w okolicy znaczne ma posiadłości, udałem się z nim na polowanie takie do jego willi w Bende, o dwie godziny drogi od miasta. Przy tej sposobności o jednym szczególe wspomnieć muszę. Wyjechaliśmy z Lattakii bardzo rano, by jeszcze chłodem zapolować. Pan konsul jechał na koniu arabskim czystej krwi, a mnie ofiarował przez uprzejmość swego angielskiego wierzchowca. Masztalerz jego jechał za nami na białym osiołku, i wiózł potrzebne zapasy. Chcąc uniknąć upału, przyspieszyliśmy kroku i jechaliśmy całą przestrzeń bardzo raźnie, o ile siły wybornych naszych koni starczyły. Jakież było moje zdziwienie, gdym spostrzegł, że nasz masztalerz na białym osiołku zawsze był przy nas, a często nawet nas wyprzedzał. Gdym na to zwrócił uwagę konsula, odparł mi, iż to jest biały osioł z Aleppu, który mu służy już lat 9, i nigdy jeszcze przez żadnego konia w dalekiej podróży wyprzedzić się niedał. Kosztował go też więcej przed laty, niż oba te wierzchowce, na których myśmy jechali. Przekonałem się też wówczas o owej wcale nie uzurpowanej reputacyi białych osiołków z Aleppu i Damaszku.

(Dokończenie nastąpi).

MATERYAŁ DO DZIEJÓW WĘDRÓWKI NIEKTÓRYCH GATUNKÓW PTACTWA

PRZEZ

Karola Brzozowskiego.

(Dokończenie).

Od północy, gdzie leży w pysznem, malowniczem położeniu miasto Marasz, ciągnie się dolina ku południowi, ograniczona od zachodu ścianami gór Pogańskich (Giaurdag), a od wschodu pasmem równoległem gór idących w kierunku Aintab-Kilis. Dolina ta zbiera wszystkie strumienie zachodniego spadu Giaurdagu i wschodniego gór Aintabsko-Kiliskich i rozszerzając się znacznie ku południowi, gdzie ma około sześciu mil niemieckich szerokości, dociera do gór, o które oparta jest starożytna Antiochia nad Orontem. Cała ta okolica, niegdyś gęsto zaludniona, o czem świadczą ruiny z zamierzchłych cza-

sów i ślady niezaprzeczone ogrodów i wsi w miejscach, gdzie dzisiaj są smutne, dzikie pustkowia, bogato jest uposażona w wody. Ponieważ spadek jest znaczny ku południowi, a wpodłuż doliny, każdy przeto strumień może być użyty do dalekiej irrygacyi, znaczną też część doliny zajmują uprawy ryżu. Z licznych strumieni tworzą się duże, pomimo krótkiego biegu swojego, dość znaczne rzeki: Kara-Su i Afrin. Obie wpadają do jeziora Antiochijskiego, pierwsza od północy, druga od wschodu. Jeziora sławne z połowu węgorzy i wielkiej a smacznej ryby, należącej do rodzaju sumów, obszarem swoim u miejscowych zarobiło sobie na nazwę morza (deniz), należy jednak pomimo szumnege imienia do trzecio-rzędnych jezior w Turcyi, bo powierzchnia jego zwierciadła wynosi pięć mil niemieckich kwadratowych, a około siedmiu do ośmiu, wliczając do niego pas sitowia, trzcin i rogoży, suchy w lecie, ale zalany w zimie i późno jeszcze na wiosnę. Na jeziorze są tu i owdzie wysepki, głębokość nie wielka i tam tylko do kilku łokci dochodzi, gdzie są łoża Afrinu i Kara-Su. Wody jeziora wylewają się w kierunku południowym i po krótkim biegu spotykają Oront (po arabsku i turecku *Assy-su*, to jest wolny, nieugięty), cała więc dolina idąca od Marasza łączy się bezpośrednio ze systemem wodnym Orontu, jedynej rzeki, która wzdłuż przerzyna znaczną część Syryi. Idąc pod wodę, dolina Orontu zrazu znacznie szeroka zcieśnia się, rzeka przewija się pięć mil pomiędzy górami, aż do Dżyssyr-Szegru, gdzie znowu szersze ma przestrzenie po obudwóch swych brzegach. Od Dżyssyr-Szogru, ku Hamie, Oront doprowadza nas do znacznego jeziora o brzegach błotnistych, zarosłych sitowiem i trzciną, mającego przeszło dwie mile kwadratowe powierzchni Od jeziora Emezkiego do źródła Orontu jeszcze jest mil siedm, a źródło to znajduje się pomiędzy dwoma wysokiemi pasmami gór, między Libanem a gałęzią Antilibanu, zwaną Dżebel Szerki. Cały bieg Orontu wynosi około 35 mil niemieckich. Dolina między Libanem i Antilibanem w okolicy źródeł Orontu rozłamuje się na dwie równie pochyłe; jedna z nachyleniem ku północy, a druga ku południowi i tu jest rozdział wód i źródło rzeki Litany wpadającej do morza śródziemnego między miastami Saidą i Surem, które są starożytnym Sydonem i Tyrem. W Bassenie Litany leżą sławne ruiny Baalbeku *(Heliopolis)* i para jezior na południowo-wschodniej stronie. Rzeka Litana tu i owdzie w zimie szeroko rozlewająca się i użyzniająca równinę Buka albo Beka, płynie równolegle z Jordanem przez pięć do sześciu mil niemieckich, potem skręca się na zachód, kiedy Jordan dąży prosto na południe, będąc raz oddalony od swojej rówiennicy zaledwie o trzy ćwierci mili. Dolina więc Litany wąskiem jest tylko pasemkiem gór w jednem miejscu rozdzielona od doliny Jordanu, która ma jezioro El-Hule (2 mile kwadrat.), Tyberiadzkie (6 mil kwadratowych), a w końcu Morze Martwe. Obliczywszy długość doliny Karasu, Afrinu, Orontu, Litany i Jordanu, dochodzimy do 80 mil rzek, a na linii ich przebiegu 21 mil kwadr. niemieckich jezior i błot, nie wliczając w to obszernych zalewów zimowych. Na zewnątrz tej linii wód, a w niewielkiej od niej odległości leżą jeziora El-Sabcha (4 mile kwad.) na wschód Alepu i drugie znaczniejsze i bliższe Damasceńskie, mające z błotami przeszło 18 mil kwadr. Oba te jeziora dorzuciwszy do powierzchni wód wyżej obliczonych, summa ich wyniesie 43 mile kwadr. Weźmy na uwagę, że ta część Cylicyi, Syryi i Palestyny jest najmniej zaludnioną, że częstokroć wiele jedzie się godzin, nie spotykając żywej duszy, chyba na rzadkich drogach karawanowych do miast wiodących, weźmy na uwagę, że jeziora i obszerne błota tego kraju nie tylko nigdy nie zamarzają, ale że tu średnia temperatura zimowa rzadko kiedy niższą jest nad 10 stopni ciepła *(centi-grade)*, a tylko w latach wyjątkowych, raz lub dwa razy zapamiętanych przez starców, małe strumyczki lub płytkie na parę centimetrów wody ścinają się cieniutkim lodem, weźmy w końcu na uwagę obfitość i rozmaitość żeru, jaką tu ptak spotyka, to uznamy, że nigdzie ptactwo błotne znaleść nie może cieplicy, w którejby warunki takie, jak szeroka wód przestrzeń, podszycie ich, ciepło i dostatek żywności były połączone równie szczęśliwie. Eldorado to ptasie! Przeróżny gwar, krzyk, świst, gęganie, chrapanie, które w niem nieraz słyszałem, żywo mi przypominały obrazy Polesia z nieśmiertelnej pieśni o ziemi naszej. Do Eldoroda tego dążą nietylko wszystkie znane gatunki ptactwa błotnego w naszej Polsce, ale i najrzadszy z odległej północy, a nawet z południa skrzydlaty obywatel. Eldorado to ptaków błotnych mało jest jeszcze przez ornitologów badane, samo jezioro Antiochijskie polem jest dla długoletnich studiów i obfitego żniwa dla muzeów, a jednak jezioro to daleko pozostaje pod względem ważności ornitologicznej i myśliwskiej od bagien Orontu, a szczególniej od jeziora za Damaszkiem, które jest rodzajem małego morza wewnętrznego, zbierającego w siebie wody z czterech stron niebosklonu. Rodak nasz Artur Janowski kilkoma przesyłkami do Muzeum Lugduńskiego zwrócił uwagę jego dyrektora pana Lortet i tego roku wprawdzie w spoźnionej, a więc w mniej właściwej porze, zjechała missja zoologiczna francuska do zbadania jeziora Antiochijskiego, a rodak nasz zaproszony został do wspólnej pracy. Dla lubownika polowania na błotne ptactwo co rok przez miesiące Grudzień, Styczeń i Luty na całej przestrzeni, którą wyżej opisaliśmy, otwiera się szerokie pole do najrozmaitszych łowów i do popisu strzałami od kul do najcieńszego śrótu, od małego bekasika do łabędzia wszystko tu i w bardzo znacznej spotka liczbie.

Jeżeli szlak, o którym tu mowa, a który nazwiemy Syryjskim, ma pewną już wagę w historyi pochodów ptactwa błotnego z północy, to wiele traci w porównaniu z innymi szlakami więcej wschodnimi. Zatrzymajmy się chwilkę nad tymi, które prowadzą do Mezopotamii, na niezmierzone okiem przestrzenie płaszczyzn i bagien, oblewanych przez największe w Turcyi azyatyckiej rzeki Eufrat i Tygier.

1. Szlak kaspijski przez jezioro Szahi (w Persyi), mające 100 mil kwadr. powierzchni, skąd wielka część ptactwa sześcio-godzinnym lotem przerzuca się nad Tygier. (Liczyłem pięć mil na godzinę lotu).

2. Szlak czarno-morsko-wschodni na jezioro Wan w Armenii (60 mil kw.). Do tego wielkiego etapu dostaje się ptactwo z Czarnego morza ośmio- do dziesięcio-godzinnym lotem. Od jeziora Wanu szlak czarno-morsko-wschodni rozszczepia się, część ptactwa dąży do kaspijskiego morza na jezioro Szahi, dokąd mu sześć godzin lotu wystarcza, kiedy druga część idzie wprost na Tygier.

3. Szlak czarno-morsko-zachodni kieruje się na jeziora Azyi mniejszej z Manissa (4 i pół mil kwadr.), Aballonia (5 mil kw.) i Isnik (6 mil kw.). Trzy te jeziora leżą prawie w linii prostej, idącej z zachodu na wschód.

Prawdopodobnie ptactwo z jeziora Isnik dąży przez tak zwane stepy solne do jeziora Tuzczellu, którego obszar wynosi 24 mil kw. i na to potrzebuje lotu godzin 10, a z tego etapu ma godzin 8 do szlaku Syryjskiego. Z jeziór Manissa i Aballonia ptactwo ma przed sobą jeziora Bawiran (14 mil kw.), Bejszer (8 mil kw.), Akszer (3 mil), Bogla (3 mil) i Akgiol

(2 mil kwadrat.), przez bagna na południu Tarsusu w Karamanii, skąd sześć godzin lotu doprowadza je do szlaku Syryjskiego. Z tego widzimy, że ten ostatni związany jest z czarno-morsko-zachodnim.

Przejdźmy do wielkiej cieplicy Mezopotamii, do której prowadzi szlak kaspijski i czarno-morsko-wschodni, a do której ptactwo z Syryjskiego przerzucać się może przez etapy jeziora Alepskiego i Damasceńskiego, jak również tymi samymi etapami ptactwo z właściwej zachodniej Syberyi przybyłe do Mezopotanii, przelatuje do Syryjskiej cieplicy, i to nam tłumaczy zjawienie się podobnych gatunków, chociaż rzadko, nawet na błotach wybrzeż morskich Syryi. W widłach pomiędzy Tygrem a wpadającą do niego rzeką Szaab albo Kercha (2 mile od lewego jej brzegu leżą ruiny sławnej Suzy), ciągną się błota Samarga, mające 15 mil długości, 5 szerokości, a więc 75 mil kwad. powierzchni. Z Samargą łączą się bagna Abu-Kelam, które leżą na zachód od Korna, gdzie jak wiadomo, Tygier zlewa się z Eufratem. Błota te mają 14 mil długości a średnią szerokość 2 mil, powierzchnia więc ich wynosi 28 mil kw. Kilkomilowa zaledwie przestrzeń dzieli te błota od błot Ramiah, leżących na prawym i nieco na lewym brzegu Eufratu w okolicach ruin Sankera. Długość tej błotnej przestrzeni wynosi od Arka do ruin Kufy mil 27, a szerokość 2 mile, co jako jej powierzchnią daje 54 mile kwadr. Bagna między Samarą a Diubba, gdzie gubi się strumień Thardhar, wypływający z gór Sindżar, mają 8 do 10 mil kw. Na wschód Bassory nad zatoką Perską, leżą błota Dargistan z powierzchnią szesnastu mil kwadr. Zliczywszy razem te błotne przestrzenie, mamy 183 mil kw., do których dorzuciwszy długość Tygru, rozwiniętą w cieplicy Meropotamii, a wynoszącą około 221 mil, długość Eufratu 251 mil i dając za średnią szerokość wspaniałym tym rzekom po metrów 300 (co z pewnością jest za mało), będziemy mieli około 200 kwadr. mil wód, błót i trzcinowych lasów, oprócz drobniejszych powierzchni, co rok w porach zimowych deszczów zalanych wodami. Co to za raj dla wodnego i błotnego ptactwa, raj, którego na niezmiernych przestrzeniach nie podziela z żadną duszą ludzką!

Kończyłem właśnie rys ten głównych szlaków przelotu ptactwa błotnego północy, gdy niespodziewany spotkał mnie zaszczyt — odwiedziny pana C. Tristram, sławnego dziś angielskiego ornitologa, który wzbogacił naukę odkryciem i opisem wielu nieznanych przed nim gatunków ptactwa. Znakomity mąż ten powracał właśnie z siódmej wycieczki swojej po Syryi i Palestynie i przybywszy do Lattakii, pierwszym parowcem, który nadszedł, udał się do Anglii. Nie omieszkałem skorzystać ze sposobności dać panu Tristram treść drobnej pracy, którą miałem właśnie pod ręką. Wysłuchał mnie z zajęciem, a w końcu dodał, że w tym kierunku dotąd nic zgoła nie zrobiono dla Ornitologii i podniósł nawet jedną z mych uwag, jako zupełnie dla niego nową, a wydającą mu się bardzo uzasadnioną, to jest uwagę, że organizm niektórych gatunków ptactwa niepozwala im znosić wielkiej różnicy między skrajnemi dwiema temperaturami i to jest głównym powodem ich migracyi, i że te właśnie gatunki najwcześniej opuszczają kraje północne i najpóźniej do nich wracają z ciepic najbliżej od zwrotnika położonych. Dalej uznał pan Tristram ważność badania wielkich szlaków ptactwa błotnego, wytkniętych mu przez same warunki topograficzne i fizyczne krajów, przez które przechodzi, potwierdził, że szlak Syryjski nadzwyczajnie jest ciekawy dla Ornitologów, i że na kończynie jego jezioro Tyberiadzkie jest nie tylko na zimę cieplicą dla ptactwa północnego, ale w lecie jest i gościną dla niektórych gatunków południowego. Na jeziorze Tyberiadzkiem, mówił pan Tristram, odkryłem niektóre nowe gatunki i dla czego tam ptactwo południowe zachodzi, może na to uwaga pańska o różnicy niezbyt wysokiej między skrajnemi temperaturami, które pewne ptactwo znosi, najlepszą jest odpowiedzią.

Zwróciwszy uwagę na główne szlaki ptactwa błotnego i wskazawszy na nich wielkie jego etapy, powróćmy do naszych błotnych i wodnych północnych, które w czasie zimy goszczą w Syryi lub przez nią przelatują. O kaczkach już mówiliśmy poprzednio, wszystkie gatunki znane w Polsce są przez zimę na jeziorach i bagnach wzdłuż całego szlaku Syryjskiego, z którego rozlatują się szeroko po kraju, a szczególniej na wybrzeżach morskich nawidzają ujścia rzek. W wyliczanie gatunków nie wdajemy się, nadmieniamy tylko, że po odlocie stąd kaczek, cyranka tu i owdzie jeszcze najpóźniej spotykać się daje. Bociany w małych ilościach pokazują się w jesieni na wybrzeżach, głównie trzymają się wewnętrznego szlaku i wielkiemi płachtami idą na południe, na wiosnę część jakaś znaczniejsza powraca wybrzeżami, co się tem tłumaczy, że na jesień wybrzeża są zupełnie suche, nie ma przeto żadnego żeru dla bociana, kiedy na wiosnę po ulewach zimowych wszędzie go znaleźć może. Przelot wiosenny trwa dwa lub trzy dni. Płachty ciągną bez ładu, często nad dachami miast, z których ludzie młodzi do przelatujących pielgrzymów (Arabowie i Turcy dają bocianowi przydomek: *hadżi*, pątnik) strzelają, aby strzelać. Gdzie tylko miejscowość zapewnia bocianowi obfitą żywność i gdzie ma spokój, tam się osiedla na czas lęgu. Bagdad ma ich pełno na tarasach domów, a często po dwie i trzy familie na jednym dachu, a że tam z powodu gorąca ludność wieczorem jada, bawi się i sypia na tarasach, bocian podziela towarzystwo człowieka i stojąc na jednej nodze w gnieździe, pomimo gwaru i śpiewów, drzemie spokojnie. Czasem tylko, gdy przedwieczna piszczałka Jubala z bębnem zanadto odezwie się piskliwie i gromko, bocian zawtórzy mu klekotem i z jednej nogi na drugą przenosi posągową swoją postawę. Opuszcza siedzibę letnią w czas przed zimnem, by się dość późno znowu zjawić na wiosnę. Powracając na północ szlakiem Syryjskim, bociany idą wzdłuż doliny aż po za Aleksandrettę, tu biorą się nagle na wschód i w punkcie prawie najwyższym przelatują w poprzecz pasmo Giaurdagskich gór. Długo zakreślają w powietrzu wielkie koła, aby wznieść się do potrzebnej wysokości i gdy całe już na niej stado się znajduje, idą naprzód. Przez kilka wiosen miałem sposobność w tej miejscowości uważać pochody bocianie i zawsze widziałem te same przygotowania do przebycia gór i to w tym samym punkcie. Nie ma dla mnie żadnej wątpliwości, że kierują się na bagna leżące na południe Tartusu. Często obfitość żeru zatrzymuje dłużej na jednem miejscu wiosenne bociany, zauważałem dwa razy ich obecność w okolicach Latakii i to gromadną jeszcze po pierwszych dniach Maja, było to w latach szarańczy, z którą pielgrzymi bojowali od rana do wieczora. Widać, że oddziały te nie miały zamiaru posuwać się daleko na północ, skoro pozwalały sobie tak długiego wypoczynku.

Batalion licznie się zbiera na zimę na bagnach i łąkach jezior, wzdłuż szlaku Syryjskiego, a gdy zima jest słotna i obszerne potworzą się zalewy, nawidza i wybrzeże morskie. Niziny wtedy okolic Dżebli i Lattakii mają stada batalionów, które wbrew swoim obyczajom nie są zbyt płochliwe i na bliski nawet strzał schodzić się dają. Ktoby bataliona stąd tylko znał, nie uwierzyłby, żeby to miał być ten sam ptak, ujrzawszy go u nas w szatach godowych pysznie ukołnierzo-

nego i ubarwionego najrozmaiciej. Odlatuje ze Syryi wczas, bo już w końcu Lutego niespotyka go się nigdzie. Widywałem go późno na wiosnę nad Dunajem, szczególniej pod Widyniem i sądzę, że musi część jakaś batalionów na czas lęgowy osiadać na wielkich bagnach naddunajskich, chociaż tego na pewne utrzymywać nie śmiem. Batalion w Syryi nie walczy, nad Dunajem widziałem go w bojach, ale nigdy nie udało mi się zejść go na strzał pomimo, że o to starałem się z wszelką ostrożnością i przezornością.

Łyskami w zimie pokryte są wszystkie trzciniaste jeziora Syryi i Mezopotamii. Zachwyciłem przed kilku laty w końcu Października, w pasmie gór Dżebel Akry, na pięć tysięcy stóp nad powierzchnią morza, łyski w gąszczach karłowatej grabiny, znanej pod nazwiskiem Orientalnej (Carp. Ostrya). Ukryte w gąszczu pomiędzy rozpadlinami skał, dosiadywały tak twardo, że bez psa, który je wynajdywał i wypłaszał, nigdybym nieprzyszedł do przypadkowego nawet której wydeptania. Tylko nadzwyczajne trudy przelotu musiały zmusić tego ptaka do zapadnięcia w miejscu tak mu niewłaściwem. W nocy poprzedzającej moje spotkanie się z łyskami, padał drobny deszcz i wszędzie leżała mgła gęsta, nic więc dziwnego, że ptak nią zachwycony zgubił swój kierunek i znalazł się na górach zmęczony, zostawiwszy parę mil na lewo jezioro Antiochijskie, do którego tylko mógł dążyć.

Co zimę widuję z kilka łabędzi w przelocie nad błotami Lattakii, jednak droga ich nie idzie nigdy wybrzeżem, ale za to na jeziorach szlaku Syryjskiego zatrzymuje się licznie. Przed kilku laty zajęty robotami topograficznemi w Giaurdagu, w wielu miejscach spotkałem oswojone łabędzie, co mnie nadzwyczajnie dziwiło. Dowiedziałem się, że wszystkie pochwytane były na jeziorze pod Maraszem, podskubano im skrzydła i zwolna przyzwyczajono do życia w niewoli. Ciekawy jest sposób chwytania łabędzi na owem jeziorze. Łodziami ostrożnie spędzają stado z czystej wody pomiędzy trzciny, które nie są głębokie, a tam zasadzeni ludzie czekają, aż się łabędź dostanie w najgęstsze wiszary, gdzie nie mając miejsca ani do rozpędu ani do szybkiego rozwinięcia skrzydeł, dostaje się do niewoli. Jezioro Damasceńskie sławnem jest z licznych podczas zimy łabędzi, na które tureccy bajowie z daleka robią wyprawy.

Naszego wielkiego żurawia widuję w Syryi rzadko, mniejszy gatunek jest tu więcej wczasie zimy znany.

Dosyć jest siewek i czajek, pierwsze daleko mniej ostrożne, aniżeli u nas, nie zbierają się nigdy w wielkie stada, przychodzą późno i wczas odlatują; drugie w ciągłym ruchu z bagien na pola orne i na odwrót, zmięszane najczęściej ze szpakami i wronami, używają spokoju, nikt ich nie strzela i nie płoszy, czasem tylko przy miastach chwytają je na wędkę, dając im na przynętę robaka w rozkopanej kretowinie.

Z drobnego ptactwa wszystkie gatunki pliszek znanych na północy mają cieplice w Syryi. Licznie zlatują i słowiki, ale tu wielką ponoszą klęskę od ptaszników, którzy co rok w czasie jesiennego i zimowego przelotu mnóstwo drobnych lataczów chwytają. Wykupujemy wiele biednych spiewaków, aby im wolność powrócić, na nieszczęście ptasznik łamie często skrzydełka więźniom, a w takim razie ptaszek zgubiony!

Polskich naszych skowronków zimuje w Syryi mało, pieśń spiewaka Najświętszej Panny zupełnie jest nieznaną, Syryjski wielki skowronek a raczej afrykański, spiewa bardzo krótko i mało i tylko na ziemi.

Wypada nam w końcu powiedzieć słów kilka o atmosferycznych warunkach, które muszą wpływać na przelot wszelkiego ptactwa, ułatwiając go lub spychając wędrowców z ich szlaków i zadając im często śmiertelne klęski. Gęste mgły i burze są prawdziwem nieszczęściem dla ptactwa zachwyconego na morskiej drodze, a jak to wspomnieliśmy wyżej, wiele jego gatunków obiera ją z konieczności. Czem dla podróżnego śnieżyca na stepie, tem dla biednego ptactwa mgła na morzu, jak człowiek, choćby najlepiej obeznany z miejscowością w śnieżnej zawiei traci zupełnie kierunek i w fatalnem kole kręci się całemi godzinami, tak i ptak zaskoczony mgłą na morzu traci instynkt i błąka się w ciemnościach bez końca, a zawsze z tą straszną pewnością, że pod sobą ma otchłań niechybnej śmierci. Ptactwo, które opatrzyła przyroda silnemi skrzydłami tak, że nawet znaczniejszą przestrzeń morza przebywa bez wielkiego wysilenia, wyczerpuje wszystkie zasoby sił swoich w długiem kołowaniu, które często zamiast przybliżać do brzegów morskich, oddala od nich nieszczęśliwego podróżnika. Stada ptactwa rozbijają się, powstaje anarchia i zupełne następuje rozprószenie. Co się ocali i szczęśliwie dobije do brzegów, widzi się w strasznem osamotnieniu! Zdarzało mi się w czasie gęstej mgły na Czarnem morzu widzieć i to niedaleko od brzegów pojedyncze nasze zbłąkane gołębie mniejsze i grzywacze, które z rozpaczą czepiały się lin masztów i zostawały na nich, pomimo stuku machiny, zgiełku i wrzawy okrętowej. Wyraźnie biedny rozbitek, zagrożony śmiercią, chwytał się tonący ostatniej zbawienia deski! Nigdy nie zdarzyło się, żeby kapitan lub który z oficerów pozwolił majtkom albo pasażerom chwytać lub płoszyć nieszczęśliwego latacza. Ptak nie raz tak był zmęczony, że ledwie po kilku godzinach wypoczynku odważył się opuścić okręt i odlecieć na ląd, który już tylko o pare tysięcy miał kroków przed sobą. Możemy sobie wyobrazić, jak straszną i zgubną jest mgła na morzu dla drobnego ptactwa o słabszych narzędziach lotu, jeśli turkawka i grzywacz, ten niezrównany latacz, zabłąkany do tego aż stopnia wyczerpuje swoje siły. Jesteśmy przekonani, że całe stada biedactwa padają nie raz wysilone na morze, gdzie topią się i stają się ryb pastwą. Morze Marmora a głównie morze Czarne dla mgieł swoich gęstych strasznemi są dla przelatującego ptactwa, szczególniej w późnej jesieni. Jesienne i wiosenne burze z gwałtownymi wiatrami i deszczami, a na południowych morzach z ulewami, piorunami i gradowemi nawałnicami muszą mieć straszne skutki dla ptactwa przez nie zachwyconego na morzu. Widywałem sępy i orły, te króle skrzydlaczów pod względem potęgi lotu, ubezwładnione tak wiatrem, że nie śmiały wznieść się na skrzydła, ale kryły się na ziemi w trawach, zasłaniając się przed gwałtownością wichru i zdybane przez człowieka wolały uchodzić przed nim na pieszo raczej, niż wystawić potężne swe narzędzia lotu na zwichnienie lub złamanie, i kładłem sobie pytanie, coby ci mocarze poczęli zachwyceni tym wichrem na morzu, daleko od brzegów? Czy może słabszy ptak ocalić się od podobnego wichru, skoro było mi rzeczą widoczną, że orzeł i sęp musiałby ulec po krótkiej walce z jego natarczywością. Po każdej wielkiej burzy lubią chodzić nad brzegiem morza i przyglądać się uspakajającym się bałwanom, ryczącym jeszcze i rozbijającym się o brzegi. Wśród mnóstwa roślin, muszel, polipów i innych tworów morskich, znajdowałem zawsze tu i owdzie wyrzuconego na brzeg trupa jakiego ptaka. Uderzało mnie to najwięcej, że pomiędzy trupami znajdowały się nieraz gatunki ptactwa wodnego, które przecie zatopienia się nie boi. Sądziłem długo, że grad, często dochodzący tu do wielkich rozmiarów, zabija ptactwo, ale na oskubanem nie znalazłem żadnego śladu uderzenia, przekonałem się tylko, że każdy trup miał złamane skrzydło i to zawsze pomiędzy ramieniem a łokciem, i wniosłem z tego, że skrzydło

złamane było przez wiatr, a latacz nagle zalany falą i w wir jej straszny porwany, choćby nawet należał do pływających, zatopionym być musiał. Przyszedłszy do tego słusznego wniosku, nie sądziłem, aby ptactwo przez uragan na morzu zachwycone, a szczególniej ptactwo niepływające, mogło mieć jakiśkolwiekbądź sposób walczenia ze skutkiem przeciwko nieuniknionej klęsce. Ma jednak sposób i przezeń to ocala się mnóstwo nawet i drobnego ptactwa. W roku 1877 płynąłem w drugiej połowie Lutego z Aleksandryi do Neapolu na Hoogly, jednym z największych parowców francuskich, zbudowanym dla linii zaatlantyckiej. Na wysokości przylądka Marapan zachwycił nas uragan, który ze wściekłością pędził z północy, sprawiwszy pamiętne zniszczenia w W. Księstwie Poznańskiem i Galicyi i w innych krajach na swej drodze. Czas był pogodny, najmniejszej nie było chmurki na niebie, słońce świeciło w całym majestacie, parowiec trzymał się pysznie na bałwanach, które przecinał ukośnie i gdyby nie skręcone wielkie maszty poprzeczne *(mat de misaine)* z trzaskiem zwalone na pokład i od czasu do czasu huk bałwanów nań wskakujących, można byłoby sądzić, że wicher nie był tak gwałtownym. Mówił mi później kapitan, że od kiedy ma pod sobą Hoogly, w najgwałtowniejszych burzach na oceanie, nie zdarzyło mu się nigdy, aby go na pokładzie bałwan miał nawidzić, kiedy tymczasem jeden z taką gwałtownością skoczył na okręt, że uderzywszy o komin, wzniósł się po nim do góry i część swej wody zwalił do ogniska, a kapitan utrzymywał, że wszelki inny parowiec, mniej silnie zbudowany i nie tak dobrze uwarunkowany, znajdowałby się w największem niebezpieczeństwie zupełnej zaguby. Nie cierpiąc morskiej choroby, w wygodnem miejscu, uczepiwszy się grubych dobrze naprężonych lin, przyglądałem się wspaniałemu a groźnemu widokowi rozszalałego morza. Wicher z każdego bałwana, gdy ten dochodził do najwyższego punktu swojego podniesienia się, porywał wodę i ciskał ją przed siebie sproszkowaną, obróconą w chmurki ze srebrnych pylin, a promienie słońca przechodzące przez nie rzucały na raz setkami tęcz. Gdy wpatrywałem się w te świetne zjawiska, na samym spodzie dołu utworzonego pomiędzy dwoma bałwanami mignęło mi nagle coś nakształt przelatującego ptactwa, nie byłem pewny, czy się nie mylę, to zdawało mi się być niepodobieństwem, jednakże odtąd baczniejszą zwróciłem uwagę na dna że się tak wyrażę wąwozów, któremi całe morze równolegle było poprzerzynane. Nie potrzebowałem czekać długo i zobaczyłem kilkadziesiąt białych pliszek, które po ich barwie, budowie i sposobie lotu poznałem doskonale. Trzymały się jak najwyżej i szły wzdłuż głębokiej bruzdy, której wysoka ściana broniła je od natarczywości wichru. Widząc to, podziwiałem zdumiony potęgę instynktu biednej ptaszyny! Przez kilka godzin nie opuściłem mojego obserwatoryum, kapitanowi wskazałem moje odkrycie i razem z nim przyglądałem się manewrom ptactwa. Nie trzeba sądzić, że dosyć jest aby się ptactwo trzymało dna wąwozu, dno to podnosi się i staje się z kolei grzbietem bałwanu, otóż podniesione ptactwo do dwóch trzecich wysokości zwraca się nagle pionowo pod wiatr i szybkim ruchem przerzuca się w drugi wąwóz i tak następnie. Zmiana ta wąwozów ciągła, chociaż jest dziełem jednej chwili, jest bezwątpienia nadzwyczaj niebezpiecznym obrotem, przy wykonaniu którego jakaś część ptactwa przy dłuższem trwaniu wichru ginąć musi. W taki to sposób broniło się od strasznego uraganu ptactwo idące z Afryki do Grecyi, a gatunki, które poznałem doskonale, były pliszki białe i żółte, dudki i zdaje mi się jakieś antusy. Jeśli się nie mylę, pierwszy zrobiłem to spostrzeżenie i umieszczam je w „Łowcu", gdzie nie jeden wyczyta je Ornitolog. Postrzeżenie to uważam za ważne, bo ono właśnie rozwiązuje nam zagadkę, jakim sposobem nieraz zaganiane bywa ptactwo w okolice, gdzie go nigdy nie widziano i wyraźnie przekonywa, że gwałtowne wiatry rzucają ptactwo na morzu nie w kierunku swojego prądu, ale w kierunku matematycznie prostopadłym do niego. Tak ptactwo idące z Afryki do Grecyi na północ zapędził uragan północny na wschód i na zachód, i to samo sprawiłby był uragan południowy.

O LUFACH

PRZEZ

Ludwika Weebera.

(Dokończenie).

Lutowanie luf cyną ma jeszcze i tę zaletę, że nie dopuszcza zwichnień i skrzywień; spiłowane bowiem należycie i dopasowane szczelnie lufy przegradza się listkiem mosiądzu, wiąże drutem, klamruje w całej długości, i ułożone na płycie żelaznej wkłada do pieca. Najmniejsza nieuwaga pod względem równego luf rozgrzania lub ostudzenia tychże, wpływa nader niekorzystnie, strona rychlej stygnąca ściąga się lub poddaje, i niweczy najstaranniejsze przygotowania, a nieprzewidziane skutki pojawiają się często dopiero w ręku myśliwego. W takim razie bowiem lufy wzięte na strunę wykazałyby odrazu najmniejszą niedokładność w spojeniu. Dodajemy nawiasem, iż gdy w Belgii usiłowano spajać lufy cyną, to wywołało to podniesienie ceny luf o 15 do 20 franków na sztuce. Nie mało też zależy na należytym stosunku rozłożenia materyału wzdłuż lufy. Tu należy zwrócić uwagę, że lufa gruba w zapale i całej swej długości musi czynić ujmę donioności strzału, ponieważ ta massa metalu zmniejsza rozprężną siłę prochu. Nie należy jednak z tego powodu chwytać się drugiej ostateczności już z tej przyczyny, że lufa głównie w dolnej swej części u zapału powinna wytrzymać próbę poczwórnego naboju prochu. Wytrawny rusznikarz wie dobrze, że ubytku w lufach niczem już zastąpić nie można, zwykłemu zaś robotnikowi niechaj ta reguła w żywej będzie pamięci, szczególniej przy spełnianiu poleceń przekształcenia luf na koniczne.

Przechodzimy do luf konicznych. Wiedząc, że równe cylindrowe lufy z cieńszemi nawet ścianami lepszy stawią opór silniejszemu nabojowi, mimowoli przejmuje nas przy lufach konicznych pewna obawa. Sposób ten żłobienia luf wychodzi od rusznikarzy hiszpańskich, Anglicy go tylko ulepszyli, bo zmodyfikowali. Zaleta tych luf ma polegać na spotęgowaniu siły prężności gazów, oraz na skupianiu śrótu. Jeżeli wszakże lufa koniczna ma odpowiadać tym wymaganiom, a przytem zapewnić bezpieczeństwo, to zwężanie się jej stopniowe od zapału do wylotu nie powinno nigdy przekraczać jednego kalibra t. j. gdy lufa u zapału ma kaliber 14sty,, to u wylotu może mieć najwyżej kaliber 16sty, i w takim stosunku dalej. Takie

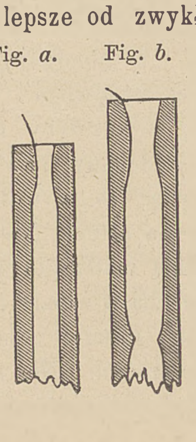
cugowanie wymaga niemałej zręczności i uwagi. Anglicy nie dawali dawniej lufom nigdy więcej jak pół kalibra różnicy od zapału do wylotu, bo kalibry ich idą w porządku arytmetycznym 1, 2, 3, a nasze w geometrycznym. Umiarkowanie to zasługuje na wszelkie uznanie, pomijając bowiem nieuniknione silniejsze szarpnięcia, mamy w tym względzie ciekawe zapiski angielskiego rusznikarza Greenera. Powiększając stopniowo rozmiary lufy konicznej doszedł on do takiego rezultatu, iż na 40 kroków wbijały się dwie trzecie naboju śrótowego w tarczę objętości jednej stopy kwadratowej. Dodaje on jednak do swego sprawozdania, iż prawie można się było biegiem zrównać z pędem owych śrótów, tak były bezsilne. Mamy w tem jasny dowód, że przekroczenie wyżej podanej reguły zużywa bezużytecznie z powodu zbyt silnego tarcia siłę prężności gazów, i staje się w razie zanieczyszczenia lufy bezwarunkowo niekorzystnem. Ale nawet normalna koniczność luf ma tę stronę ujemną, że po 7 lub 8 strzałach zanieczyszczenie lufy zmniejsza doniosłość strzału, osad bowiem przylega o wiele łatwiej do luf konicznych, i podczas gdy lufa cylindrowa po kilkunastu strzałach nic nie traci na doniosłości, to lufy koniczne już wtedy słabo biją, i trącają niemiłosiernie. Lufy te zawdzięczają swą wziętość konicznemu wycugowaniu w całej długości lub też urządzeniu tak zwanego *falu* t. j. konicznemu rozszerzeniu lufy na 6 do 7 cali wzdłuż od zapału ku wylotowi. Tak przysposobione lufy rzadko większej podlegają próbie, jak 4 do 5 strzałów, ztąd to w handlach broni tak popłaca ladajakie koniczne wydrapanie pierwotnego wygładzenia prawidłowego. Koniczne zatem wydrążenia luf są owym znanym workiem judaszowym rusznikarzy-szarlatanów, którzy szczególniejszymi wymysłami usiłują zdyskredytować skromnych, ale rutynowanych swych współzawodników. Gęstym strzałem niestety dotąd skutecznie przynęcają ludzi niefachowych, a łatwowiernych. Lekceważą sobie tacy pseudo-myśliwi brak w lufie prawidłowego wygładzenia i politury wewnętrznej, a ujmuje ich natomiast szorstkość luf, zatarta w części za pomocą korby, chociaż częstokroć to dziwne upodobanie życiem swem płacą zwłaszcza, gdy przerabia się lufy bez względu, ażali one już z fabryki wyszły z odpowiednimi do tego rozmiarami grubości, zwykle nie stosownymi do tego rodzaju przekształceń.

Po spaleniu prochu wywiązują się w lufie gazy wywierające silne parcie tak na ściany lufy, jakoteż na nabój śrótu. W lufach cylindrowych posuwa się słup gazu równo ku wylotowi bez innych mechanicznych przeszkód, jak tylko oporu wywołanego przez szczelnie przylegający przybitek i nabój śrótu. W lufach zaś konicznych słup gazu odpierany i zgęszczany przez zwężające się ściany, działa wprawdzie z tem większą siłą na nabój śrótu, ale też i na ściany lufy. W skutek ściskania się pojedyńczych ziarn śrótu przybierają one zamiast kulistego kształt kanciasty, a walcząc z tem silniejszym oporem powietrza tracą znacznie swą moc i doniosłość. Nadmieniamy jeszcze, że trejbszpiglów, odpowiednich do luf cylindrowych, przy konicznych bezwarunkowo używać nie można, narażają bowiem na groźne niebezpieczeństwa. Przytaczamy wreszcie wyjątek z znakomitego dzieła M. de Haudeto: „Dawniej — mówi on — torturowano lufy w różnoraki sposób w celu przysporzenia doniosłości i gęstości strzału, jedne były zwężane u wylotu, drugie rozszerzane u zapału, znowu inne były całkiem konieczne; mimo tego jednak lufy zupełnie równe, cylindrowe są najpraktyczniejsze, ponieważ stosunkowo najdalej niesą, strzelają najregularniej, i są najmniej niebezpieczne“.

Przechodzimy do luf hiszpańskich. Są to lufy z dwoma stożkowatemi rozszerzeniami, mianowicie jedno u zapału, drugie u wylotu, połączonemi w środku cylindrem. Miały te lufy niegdyś wielką reputacyę, obecnie jednak zupełnie zarzucone, są pierwowzorem dzisiejszych amerykańskich szokborówek *(choke-bore)*. Konstrukcya ich zasadzała się na tem, że były o jeden kaliber szersze u zapału i wylotu, a węższe we środku. Szerszą była taka lufa w jednej trzeciej części swej całości u zapału, następnie dalsza część była zupełnie cylindrowa, a ostatecznie przechodziła lufa w stożek, rozszerzający się ku wylotowi. Pożytek takiego urządzenia lufy widziano w tem, że rozszerzenie u zapału ułatwiało szybkie spalenie prochu, nabój śrótu party prochem ku środkowi, w skutek spotęgowania prężenia gazów miał ułatwiony wylot ku końcowi lufy, i mniejszemu podlegał drganiu, jakie zwykle u wylotu lufy powstaje, i głównie rozrzucanie śrótu powoduje. Nie ma nic nowego pod słońcem, to też amerykańskie *choke-bore* są wznowieniem i ulepszeniem rzeczy dawno znanej. Na poparcie tego naszego zdania przywiedziemy ustęp z dziełka angielskiego rusznikarza M. Greenera, dedykowanego księciu Wellingtonowi. Pisze on: „Lufa cylindrowa zupełnie równa, pod młotem na zimno zahartowana, 28 — 30 cali długa, kalibru 15 (nasz 16), wbijała 34 ziarn grubego śrótu w głąb 30 arkuszy tęgiego papieru. Rozszerzyłem tę lufę u zapału i u wylotu, w skutek którego przekształcenia przebijało tyleż arkuszy papieru 65 ziarn grubego śrótu. Gdym następnie rozgrzał tę lufę w ogniu do białości, co jej odjęło hart i elastyczność, a następnie wypolerowawszy ją wewnątrz strzeliłem w takich samych warunkach, miałem w tarczy tej samej tylko kilka ziarn śrótu, które przebiły zaledwie 16 arkuszy papieru“. Doświadczenie to rzuca bardzo pouczające światło na całą sprawę balistyki myśliwskiej.

W sprawie *choke-bore*, owego najnowszego rzekomo wynalazku wiercenia luf, przytaczamy wyjątek z paryskiego czasopisma łowieckiego: „*La chasse illustrée*“, Pisze tam p. E. Bellecroix: „Słyszę o niezwyczajnych rezultatach tego systemu broni myśliwskiej, że ktoś tam zabił dwie ceranki na 180 kroków, ktoś inny kozła na 98 kroków w obecności wiarygodnych świadków — więc sprawiłem sobie choke-borówkę. Po próbach odbytych do tarczy i w polu mogę objawić bezstronne me zdanie. Wynalazek ten byłby się dawno rozpowszechnił we Francyi, gdyby nie wstręt nasz do cudzych wyrobów (!), a życzyćby należało, żeby nasi rusznikarze więcej starali się o przyswajanie sobie cudzych wynalazków zwłaszcza, że nasze wyroby z St. Etienne śmiało mogą współzawodniczyć z wyrobami Londynu lub Birmingham. O ile mi wiadomo, pierwszy M. Galand zajął się rozpowszechnieniem *choke-bore* we Francyi, widząc w nich niezaprzeczony postęp. Zaleta *choke-bore* polega na sposobie wewnętrznego wydrążania luf, a nazwa sama *choke-bore* oznacza to wydrążenie. Nie jest ono jednakowem u wszystkich luf tego systemu, wszystkie jednak dają lepsze od zwykłych cylindrowych rezultaty. *Choke-bore* idzie w lufie równym cylindrem aż do 10 centimetrów od wylotu (fig. *a)*, następnie zwężają się lufy jedne w formie stożka na 7 centimetrów od końca lufy, a na 3 centimetry od wylotu, przechodzą znowu w cylinder lub stożek odwrotny, z kalibru zaś 12go na 16sty. Inne lufy mają podwójne zwężenia czyli rodzaj karbu w środku lufy (fig. *b)*.

Fig. *a*. Fig. *b*.



Skutki koncentracyi i siła strzału tłumaczą się tem, że impregnowany ste-

aryną przybitek filcowy, przytrzymany w chwili przejścia przez karb czyli zwężenie stożkowate, ułatwia nabojowi śrótu szybszy wylot, a przez swe ścieśnienie nie dozwala ujścia gazów i wstrząśnienia naboju, posuwającego się ku wylotowi. Gazy te w zwykłych warunkach wnikają w lufach cylindrowych przez przybitkę w nabój śrótowy i sprawiają nieregularność strzału tem bardziej, im cieńszą i mniej zbitą jest przybitka. Sądziłem, iż karby te i zwężenia w lufach będą powodem szarpnięć, obawiałem się zbytniego zbijania srótu; wszelkie jednak obawy moje i wątpliwości ustąpić musiały wobec imponujących rezultatów, przemawiających na korzyść luf nowego systemu. Błędne bowiem jest mniemanie, jakoby nabój śrótu posuwał się w lufie cylindrowej i wychodził z niej zupełnie równo, przeciwnie śrót rikoszetuje we wszystkich kierunkach (?) na prawo i na lewo, z góry na dół i *vice versa*. Przybitka bywa w lufach cylindrowych przewróconą, bokiem pochyloną, i zamiast posuwać się i stawiać napierającym gazom szczelny opór, dozwala im przedwcześnie wyjść częściowo, a w chwili wylotu z lufy przybitka ta przestaje być podstawą, a wtedy bywa nabój śrótu gwałtownie rozrzucony. Widziałem śróty na 3 metry od wylotu dywergujące na jeden metr od linii celnej, tłumaczy to owe dziwne wypadki, jakie się wydarzają na polowaniach. Inne śróty padają zaraz na ziemię lub pryskają ukośnie w górę, o czem można się przekonać podścielając płótno lub rozpinając powyżej papier *). „U chake-borów roża strzałowa śrótu jest zawsze równa i w miarę odległości regularna. Rezultat ten pochodzić może także ztąd, że krótkie ścieśnienie u wylotu nie dozwala rikoszetów. Ostatecznie chake-bory biją doskonale; na krótką jednak odległość zmniejszyć należy zbyteczną koncentracyę strzału przez zastosowanie filcowych przybitek, nieimpregnowanych stearyną, na dalsze zaś strzały używać trzeba tylko impregnowanych". — Spotykamy się dalej w temże czasopiśmie z korespondencyą, która w inny sposób wyraża przymioty chake-borów: „Nie znalazłem dotąd nigdzie dokładnego opisu skutków, jakie explozya gazów na formę lufy cylindrowej wywiera. Za pomocą kilkunastu pierścieni z drutu ołowianego, zmierzonych dokładnie przed i po doświadczeniu, umieszczonych ciasno na pojedynczej lufie przez całą jej długość, można się przekonać, że zwykła lufa cylindrowa rozszerza się w skutek strzału w formie dwóch stożków, odwróconych podstawami od siebie, a połączonych cylindrem u szczytów. Z rozmiarów tej diformacyi przypada $^1/_4$ na stożki u zapału i wylotu, a $^3/_4$ na środkowy cylinder. Otóż wydrążenie chake-borów wyrównuje te rozszerzenia u wylotu i zapału (?) do pożądanej równoległości ścian". Okazuje się tedy, że *grammatici certant, sed adhuc sub judice lis est*. Według naszego przekonania nie tyle ulepszenia broni, ile raczej ulepszenia nabojów są przedewszystkiem pożądane, nie należy przeto nabywać bez zwłoki jakiś nowy wynalazek bez uzasadnionej i wszechstronnem badaniem stwierdzonej pewności, że ulepszenie jest istotnem. — W przeciwnym razie musielibyśmy z mieszkań naszych porobić istne sklepy lub arsenały, a gdyby nawet kieszeń nasza na takie nabytki pozwalała, to jeszcze nasuwa się pytanie, kiedy wynalazek jaki jest już ostatnim krokiem na drodze postępu? Wszak podobno nigdy. Więc ulepszenia nabojów najbardziej pragnąć powinniśmy, wtedy dopiero uchronimy się od niekorzystnych i bardzo nieraz przykrych nabytków i zamian.

*) Przyczyny tych rikoszetów szukaćby należało raczej w nieuchronnej nierówności ciężaru, często nawet próżni pojedynczych ziarn śrótu, która w miarę rozmaitej, nierównej siły rzutu powoduje zetknięcie się z sobą i boczne, ukośne pryskanie. Co do rzekomej chwiejności w równem, jednostajnem posuwaniu się przybitek w lufach cylindrowych, zachowujemy sobie wyrażenie zdania naszego w ustępie rozprawy naszej „o nabijaniu i utrzymaniu broni myśliwskiej".

Wziąć jeszcze należy na uwagę, że lufy chake-bore stosowniejsze są do szczegółowych przeznaczeń np. do *stawarek*, do śrótu grubego w kniei, należą bowiem do kategoryi broni myśliwskiej ciężkiej, muszą być masywniejsze, jeżeli mają mieć kształt wyżej określony; lżejsze zaś tego rodzaju lufy są absolutnie niebezpieczne. Przeto mimo przytoczonych zalet, mimo amerykańskiej cechy postępu chake-borów nie wielu się znajdzie zwolenników takiego wyłącznie systemu luf, i dla tego to mają zwykle dubeltówki chake-bore jedną lufę zupełnie gładką, cylindrową. W Hiszpanii wyrabiano pojedynki podobnej konstrukcyi, które dziś nieużywane przechowują muzea.

Zwracamy się do innego rodzaju luf, do żłobkowanych czyli gwintowanych do śrótu. Przez długi czas były one bardzo poszukiwane, i dziś jeszcze lubo nie licznych mają zwolenników. Jedne z nich miały drobniejsze, włoskowate gwinty, inne znowu wyżłobienia grubsze, a te były masywniejsze. Lufy takie dawały o tyle donośniejsze i ostrzejsze strzały, że żłobki przytrzymując przybitkę naboju, a tworząc regularniejszy przewód dla śrótu ku wylotowi, potęgowały przy jednostajnie zwiększonem tarciu siłę strzału. Doświadczenia przekonały jednakże, że ów sposób przysparzania lufom donioslości, nie przeważał innych ubocznych a nieodstępnych niedogodności. Lufy takie muszą być cięższe, podlegają łatwo zanieczyszczeniu, wreszcie tak jak u chake-borów trudno w nich naznaczyć ściśle granicę tarcia, od którego pożądane maximum siły strzału zawisło. Utrzymanie takich luf, równie jak chake-borów, wymaga o wiele większej staranności, jak luf gładkich, bo gdy tylko osad lub rdza osiądzie na delikatnych rowkach czyli liniach przewodowych, to strzelają daleko gorzej, a naprawa zniszczonych przez rdzę gwintów jest prawie niemożliwą. Równe trudności utrzymania są także przy zastosowaniu koncentratora (würgeröhrchen) u gusstalowych luf Piepera, były bowiem już wypadki rozerwania luf przy wylocie lub wytworzenia się przepukliny czyli wydęcia się lufy w formie obrączki przy samej nasadzie rurki tej czyli koncentratora skutkiem nagromadzonej sadzy i niestosownej przybitki spowodowane.

O broni myśliwskiej gwintowanej do kuli będziemy mieli sposobność pomówienia osobno, a teraz musimy rzucić kilka słów o ważności wewnętrznego wygładzenia luf. Kierunek, w jakim się ta czynność odbywa, jest tu najważniejszym. Polerowanie w kierunku diametralnym nie zatrze nigdy pierwotnego śladu pilniczków kolbownika. Rysy te głębsze i płytsze są istotnie szkodliwe chropowatością swoją, udzielając drganie pociskowi, i zanieczyszczając z łatwością niewygładzone lufy. Wygładzenie spiralne łatwiej bywa dokonywane, a przy wygładzeniu podłużnem żaden choćby najdrobniejszy rysik nie ujdzie uwagi i słuszną budzi niechęć. Konieczność takiego luf wykończenia jest jawną i niezbędną, lufy te bowiem biją gęściej, niosą dalej, mniej się zanieczyszczają i zaołowiają, i dają racyonalnemu strzelcowi jedyną możność korzystnego regulowania i zachowania tej ścisłej granicy między tarciem pocisku a prężnością gazów, od której pożądane maximum siły strzału zależy. Taki sposób gładzenia nie bywa zastosowywany do luf lichszego gatunku, albowiem wymaga niemało odręcznej roboty, a przeto podnosi znacznie cenę, ale żądać go słusznie należy od broni wytworniejszej i cenniejszej.

W celu ujawnienia wartości sposobu gładzenia luf i ostatecznej wewnętrznej politury, porównamy posuwanie się śrótu w lufie z chodem myśliwego po roli zoranej. Gładzenia spiralne — to istne brózdy poprzeczne hamujące swobodny po-

chód. Zresztą kto chce się naocznie przekonać o wadliwości spiralnego gładzenia, niech przetnie lufę w całej długości i spojrzy bacznie na jej wnętrze.

Należy nam zwrócić jeszcze uwagę na najnowsze lufy belgijskie Piepera. Są to lufy podwójne z jednolitej sztaby lanej stali na tokarni w wodzie wytoczone, dające zupełną rękojmię równego i centralnego obu luf połączenia. Są one zewnątrz najstaranniej, z należytem stopniowaniem grubości od zapału ku wylotowi wyheblowane i wyszwejsowane, mają liniję celną prostą lub wklęsłą, a waga ich taka, jak luf dziwirowych, wypolerowanie zaś wewnętrzne jest wzorowe. Gniazdo patronowe, wytoczone bez karbu wewnętrznego z łagodnem przejściem do lufy, lub też na żądanie z odpowiednim karbem. Fal czyli rozszerzenie u zapału bardzo krótki. Biją wybornie, i zdają się w zupełności odpowiadać wszelkim wymaganiom, jakie do broni doskonałej przywiązujemy. Dla uniknienia wszelkich lutowań mają hak do zamknięcia, wypiłowany z pierwotnego odlewu, antabkę zaś dla paska nielutowaną, lecz śrubkami do luf przytwierdzoną. Jedynie koncentratory są ich stroną ujemną. Koncentratory są to siedmio-calowe, cieniutkie rureczki, opatrzone gwintami włoskowatymi, wkręcającymi się do lufy u wylotu w celu przysporzenia w razie potrzeby strzałom większej donioslości i gęstości. Koncentratory te okazały się jednak niepraktycznymi. Od dawna usiłowano wprowadzić stal laną do fabrykacyi luf mysliwskich. Niezmierna trwałość i elastyczność tej stali zachęcały do tego fabrykantów belgijskich, sprawa ta była w Belgii nawet przedmiotem rozpraw akademickich. Lufy z lanej stali wytrzymały wobec delegowanej w tym celu komisyi ogromne naboje 100 gramów prochu i 8 kul, na tej przeto podstawie są lufy Piepera, zastosowane tak do śrótu jakoteż do sztućców rzeczywistym postępem w rusznikarstwie.

Pieper doprowadził robotę maszynową do szczytu doskonałości, a mimo stawianych w czasopiśmie: „der Waffenschmidt“ wątpliwości co do siły i wytrzymałości materyału luf piperowskich, próby odbyte na przeszłorocznej międzynarodowej wystawie myśliwskiej w Klewe, wykazały ich zalety i zyskały swemu wynalazcy palmę zwycięztwa nad wszystkimi innymi współzawodnikami kontynentu, Anglii i Ameryki.

Z tego cośmy dotąd o lufach powiedzieli, łatwo zrozumieć, jak wątpliwej wartości są wszelkie przeróbki broni perkusyjnej na odtylcową. Przylutowanie haka, wlutowanie rychwy na mosiądzu dla wypełnienia gwintów kamerśruby w celu zapobieżenia ucięcia luf, lub też nierównie racyonalniejsze ucięcie gwintów u zapału, są to czynności wymagające nader wprawnej ręki. Lufy takie wytrzymawszy ostatecznie różne próby ogniowe i cugowania, przeistaczają się na jakieś *mixtum compositum* różnorodnego hartu i elastyczności, bywają nawet często bardzo niepewnej trwałości w skutek przepalenia. Pierwotny wstręt do broni odtylcowej, przerabianej z dawnej perkusyjnej, wyjaśni się nam dokładnie, gdy rozważymy, że szczelne zamknięcie gazów przy dawnej kamerśrubie zastąpiono papierowym ładunkiem, który wraz z swoją mosiężną skówką nie zamykał dosyć szczelnie gazów, a nadto chłonąc w siebie część gazów zwłaszcza przy użyciu dawnej mniejszej miarki prochu dawał wcale nie świetne rezultaty w porównaniu z dawniejszą bronią perkusyjną. Bliższe uzasadnienie tej rzeczy zachowujemy sobie do dalszej rozprawy: „o nabijaniu.“ Nie może nas przeto dziwić niewiara i urągliwy uśmiech dawnych zwolenników broni perkusyjnej dla tego tak wątpliwego jeszcze w skutkach nowatorstwa!

Przejdźmy wreszcie do długości i ciężkości w stosunku do kalibru broni myśliwskiej. O kalibrze mówiliśmy już w rozprawce: „o wyborze strzelby“, tu tylko dodamy, że kalibry większe mogą być korzystnie używane — tak jak w strzelaniu o zakłady, również do strzałów w lot do kul szklanych Bogardusa, idzie tu bowiem tylko o wyrzucenie większej ilości śrótu. Na błotnych polowaniach używają wieśniacy w Holandyi pojedynek krótkich większego kalibru, Włosi zaś długich mniejszego kalibru, a bywają między nimi wyborni strzelcy. W miarę kalibru powiększona długość lufy stanie się lepszą rękojmią donioslości strzałów w kniei. Nie dawne to czasy, w których ogólnem było mniemanie, że lufy 30 — 32 cali długości nie wyrównają lufom 42—45 cali pod względem donioslości strzałów. Liczne jednak doświadczenia, szczególnie w Belgii przedsiębrane, przekonały, że lufy długie małych kalibrów dawniejszego wyrobu nie biją ani dalej ani gęściej, jak lufy teraźniejsze średnich kalibrów 32—34 długości. Przekształcenie broni skałkowej na perkusyjną wywołało przedewszystkiem postęp w tym kierunku. Masa kapslowa, zapalająca nabój prochu daleko szybciej, jak dawna podsypka na panewce, również hermetyczne zamknięcie kamerśruby pomnożyły siłę strzału. Odtylcowe przeistoczenie jest dalszem w tej mierze ulepszeniem. Zaprzeczyć jednak niepodobna, że strzał tymże samym nabojem prochu i grubym śrótem lub kulą z lufy dłuższej jest niewątpliwie ostrzejszym. Wystarczy dodać lufie długości na 8 — 10 diametrów kalibru lufy, ażeby przysporzyć jej 10% donioslości. Jeżeli więc idzie o strzał daleki, jak np. przy stawarkach i strzelbach do śrótu grubego, to długość lufy zastosowana do jej kalibru da niezawodnie odpowiedni i pożądany rezultat. Doświadczenia jednak robione z lufami rozmaitych rozmiarów długości stwierdziły, że średnia długość 32 do 33 cali jest najodpowiedniejszą w zwyczajnem, różnorodnem użyciu broni myśliwskiej, a to z następujących powodów: 1) Pewna długość lufy jest do zupełnego spalenia prochu niezbędnie potrzebną, również do nadania pociskowi właściwego kierunku i siły rzutu. 2) Krótsza działalność prężności gazów w lufie krótszej, niż 32 cali, musi wywołać szybsze rozprzestrzenianie się naboju śrótu. 3) Utrzymanie dyrekcyi celnej jest przy lufach krótszych daleko trudniejsze, ztąd też wynika logiczny wniosek na korzyść owych doświadczeniem stwierdzonych rozmiarów, o których mówiliśmy wyżej. Mimo tego jednak należy przyznać, że lufy 26 — 28 roli długości mają sobie właściwe zalety, mianowicie w lesie, a szczególnie w krzakach, gdzie strzały z nich bywają szybsze i celniejsze, jeżeli zwłaszcza zawsze zwykłą wadę dołowania u takich luf krótkich nie spuszcza się z uwagi. Do polowań na słonki wyrównywały czasem lufy krótkie o 20 calach długości, zwłaszcza przy zastosowaniu do połowy lufy sięgających, coraz płytszych drobnych gwintów, lufom o 28 — 30 calach, a nawet dłuższym, ale to tylko są wyjątki, które reguły stanowić nie mogą. Twierdzenie więc, jakoby wszystkie lufy takich rozmiarów były najodpowiedniejsze, nie może mieć dosadnego uzasadnienia, bo lufy krótkie mogą tylko wyjątkowo robić pożądaną usługę

Broń wojskowa wyrabia się bez względu na powyższy wywód, bo głównym warunkiem tej broni jest trwałość, pewna oznaczona waga, równokształtność i niska, przeciętna cena; broń zaś myśliwska prócz podrzędnych względów ornamentyki musi mieć zalety przedewszystkiem lekkości, następnie trwałości i donioslości.

Ciężar lufy zależy od jej długości, od kalibru i należytego rozłożenia materyału. Wiadomo, jak niedogodne są strzelby z lufami ciężkiemi u wylotu, u których punkt ciężkości przy-

pada dalej, jak na 3—4 cali, po za bączkiem cynglów. W cyfrach niepodobna wyrazić ogólnej reguły ciężkości, odpowiadającej kalibrowi i innym lufy przymiotom, zwłaszcza obok różnorodnego, specyalnego według upodobania urządzenia i różnej siły fizycznej myśliwych. Zwykła waga luf kalibrów od 14 do 20 wynosi 1.400 do 1.180 kilogramów. O ile waga luf zmniejszyła się w skutek odrzucenia kamerśruby, o tyle jej przybyło w strzelbach odtylcowych dodaniem do nich haka i łożyska (paskwili). Zbyt mały ciężar nie przyczynia się wcale do dobrego strzału, bo powoduje silne trącanie, przeciętna waga strzelby 3 — 4 kilogramów zdaje się być najodpowiedniejszą.

NA BŁOTACH BEŁZKICH

PRZEZ

Alexandra Ubysza.

(Ciąg dalszy).

Nadto może długo zatrzymałem czytelników w lasach, ruszam więc już na owe słynne podbełzkie moczary, po myśliwsku błota, mniejsze wprawdzie od poleskich i mozyrskich, lecz równie jak tamte ciekawych. Moczary poczynające się koło miasta Uhnowa występują w całej swej okazałości dopiero pod wsiami Ostobużem, Woronowem, Teblowem, z lewej zaś strony pod wsiami Staje, Witkowem, wreszcie Bełzem, na przestrzeni około trzech mil kwadratowych, ciągną się prawie pod Krystynopol aż do ujścia Sołokii do Bugu. Nieraz przebywałem u krewnych moich w Ostobużu i Woronowie, i zawsze zachwycał mnie widok tej równej, moczarowatej, a jednak dosyć urozmaiconej płaszczyzny. Tu widać kępkę olch, tam krąglak wiklinowy, ówdzie ostrowy obrośnięte trzcinami i rogożą, jakoby wyspy oblane wodą. Z początkiem Maja, gdy jeszcze wyrastające na tych moczarach trzciny, trawa zwana osoką, rogoże i tatarak zwany tu szuwarem nie są zbyt wysokie, widać jakoby wstęgę lśniącą, wijącą się środkiem moczarów, płaskobrzeżną, błotną rzekę Sołokiję, osobliwie gdy przestrzeń całą zachodzące słońce oświeci, to znowu stojące wody, formujące niezliczoną mnogość jezior i jeziorek, które w miarę reflexu promieni słonecznych błyszczą kolorem to srebra, to złota. A przytem gwar różnorodnego ptactwa szczególnie przed wschodem słońca, zaiste nader uroczy. Czem w borach drozd, budzący mieszkańców leśnych do pracy i walki o byt, tem na moczarach żóraw. Zaledwie blada zaświta zorza, już z różnych stron moczaru słychać głos podobny do wojskowej trąbki, jakoby poranna pobudka, głos cienki, donośny, a cisza daleko go roznosi. To samce żórawie, stojąc na jednej nodze, strzegąc bezpieczeństwa całego stada lub siedzącej na gnieździe samicy, budzą ze snu całą skrzydlatą rzeszę. Wnet też poczyna się ruch i gwar, najpierwsze kuliki zrywają się i lecą na żerowiska, za nimi ztąd i z owąd ciągną pojedyncze czaple samotnice, a choć milczący to ród, jednak niekiedy wrzaśnie która swym chrypliwym, niemiłym głosem. Słońce już się wzbiło w całym swym majestacie, więc coraz więcej szumu i wrzawy. Lecą kaczki i gęsi, pławią się kształtne rybitwy, i chwytają w locie ostrymi pazurkami i dziobem drobną rybkę, pod powierzchnią wody na słońcu się wygrzewającą, bociany ciągną z przyległych do moczarów wsi. Jednem słowem ruch i życie, które zwiększa się jeszcze pojawieniem się mnóstwa jaskółek, przybyłych z miejsc, zamieszkanych przez ludzi, w celu łowienia komarów, których tam miliardy, i chwytania z powierzchni wody pająków, przez lud zwanych *Kostomarami*, pluskw wodnych i innych wodnych owadów. Nie dla kąpieli one w locie dotykają wody, lecz dla żeru. Gwar ów poranny, to istna muzyka przyrody, której harmonię duch tylko podniośleszy zrozumieć potrafi. Przyczyniają się do niej również *trzcinowce* (wróble trzcinowe) i inne drobne ptactwo, jakoteż znane owe *kumkanie* żaby. Wedle gadki tutejszego ludu kapelmistrzem tej muzyki jest żóraw skrzypek, a basistą *hupało*, bąk, który, zapomniałem o tem nadmienić, przed świstem jeszcze kulików, zaraz po głosie żórawia, odzywa się ukryty w rogożach swojem *hup! hup!* Nie wielki bąk, a tak donośny, i huczący głos z siebie wydaje, obszerniej o nim wspomnę niżej. Ptactwo wodne jak: kaczki, gęsi, łyski, kurki wodne, nurki, bataliony, kulony, kuliki, nawet czasem para dzikich łabędzi zabłądzi na moczary, i ściele gniazdo, żórawie, czaple, bąki, wszystko to od wczesnej wiosny do późnej jesieni, a kaczki aż do początku Grudnia przebywają na niezamarzłych jeziorach tych moczarów, *kołbaniami* lub *oparami* zwanych. Bywa czworonożna zwierzyna. Stale mieszkają tu wydry i kuny wodne, zwane nurkami, a w zimie dążą tu też kuny domowe i i leśne, ale tylko w ostatecznym niedostatku żeru, wtedy bobrują one wspólnie z lisami za piskorzami, których tu krocie po kołbaniach, śród najtęższych nawet mrozów nie zamarzających. Niegdyś były także na tych moczarach bobry, a wiadomo, że były one nad Bugiem. Zapewniał mnie o tem Łuć Woźniak w r. 1849, liczący sobie podówczas lat 102, wkrótce potem umarł. Opowiadał mi, iż wczasie jego chłopięctwa był na tych moczarach wielki i gęsty las olchowy, a w środku jego jezioro. Pewnej jesieni podpłynął on wraz z towarzyszami korytem Sołokii pod samo jezioro w celu łowienia ryb, i spostrzegli jakoby stożki siana czy drzew, były to domki bobrowe. „*Nebiszczyk tato wtohdy zabyły sokeroju zwirja wełykoho, żółtoi szersty, z wełykimy zubamy i chwostom hrubym jak pralnyk, hołym, z łuskoju jak u ryby, buu to biber, a lude powidały, szczo takij buły i pry Buzi pid Sokalom i pid Ostrowom, pri toi samoi rici, szczo i u nas*". Dziś nie ma tam już bobrów, wytępiono je lub wyniosły się w skutek prześladowania i wycięcia lasów olchowych nad błotnymi brzegami Bugu i Sołokii. — Jedno jeszcze, mało gdzie w Galicyi istniejące stworzenie znaleść można u brzegów tych rzek, t. j. żółwia przez tutejszych mieszkańców *czerepachą* zwanego. Spostrzeżenia moje co do tego zwierzęcia podam niżej.

Okolica ta, jak już wyżej wspomniałem, była częścią Polesia, więc jak ono jest płaską, lesistą, z mnóstwem stawów, jezior i rzek płaskobrzeżnych, więc moczarowatych, wody bowiem ich nader powolne przy wezbraniu wylewają się tworząc moczary i trzęsawiska. Każda niemal wieś w tej okolicy leży nad stawem, nad rzeczułką lub rzeką, a w każdej z nich są znaczne przestrzenie ziemi dla gospodarstwa rolnego prawie nieużyteczne, bo trawa na nich tak zwana osoka nie może

*

służyć na karmę dla bydła, chyba tylko na podściół. Za to ryb, szczupaków linów, karasi, okoniów obficie. Dla myśliwych rajska to okolica, przeróżnych gatunków dzikiej, skrzydlatej zwierzyny mnogość niewyczerpana, wybijesz jedną, nadciąga druga z mnóstwa jezior, moczarów lub rzeczułek, w głębi borów ukrytych, których często nawet ludzie nie znają. Dziś jeszcze po lasach Mosteńskich, Choronowskich, Chlewczańskich, Domaszowskich, Tehlowskich, Bełzkich i innych, aż do ujścia Sołokii do Bugu, i borach zabuskich wiele się takich jezior błotnobrzegich i rzeczułek leśnych znajduje. Przed laty wszystkie je zwidziłem. Wszystkie niemal wymienione wsie osiedli niezawodnie zbiegowie przed napadami Turków i Tatarów, kryjący się wraz z dobytkiem w głębiach puszcz leśnych. Po ustąpieniu fali najezdniczej nie wracali oni już do swych dawnych siedzib, osiedli tu jako w miejscu ochronnem, pobudowali chaty, i utworzyli dawniej zwane w Polsce *kąty*, czyli małe leśne osady, w miarę mnożenia się ludności wytrzebiając bór, budując chaty, na coraz większej przestrzeni się rozszerzając. Taki zapewne początek wielu wsi i miasteczek tej okolicy. Do zakładania takich osad zmuszały nietylko wyżej przytoczone napady, lecz także ongi często grasujące zarazy. Szukano ochrony przed straszną tą plagą śród lasów, szczególnie szpilkowych, których wyziewy nie dopuszczały przystępu pomoru. Może w taki sposób powstała wieś Chorobrów, mianowicie z ucieczki przed chorobą. Tak wsie Derewlany, Derewacz powstały prawdopodobnie od ludzi chroniących się przed Tatarami na rozłożystych drzewach leśnych. W pobliżu Ubnowa w środku lasów, należących do Domaszowa, dziś jeszcze znajduje się niewielka osada, nosząca nazwę Sałasze, gdzie w czasie napadu tatarskiego zbiegowie śród niedostępnych lasów pobudowali budy z gałęzi i ziemi. Takie ofiary wojny lub chorób nagminnych nie ginęły z głodu w ostępach tych puszcz, jeziora i rzeczułki dostarczały im ryb, zwierzynę łowiono na samołówki, a zresztą grzyby i jagody żywiły. W innych stronach Polski budowano dla ochrony na czas wojny utwierdzone zamki, czego dowodem dzisiejsze ich ruiny. Na Polesiu nie ma ich śladu, bo tam na całym obszarze nie ma kamienia, budowano więc w tym celu zameczki drewniane, okopane głębokimi rowami, obwiedzione wałami i gęstym, dębowym częstokołem. Ślad takiego drewnianego zameczka w kształcie obszernego, okopanego czworoboku, dziś jeszcze widzieć można we wsi Ostrowie. Śladem takich twierdz są też liczne nazwy w tej okolicy horodyszcz.

Przed laty zachwycałem się widokiem tak rozległych przestrzeni moczarowatych, niodostępnych, tajemniczych, a wyobraźnia pobudzała mnie zawsze do badania tych misteriów, ubarwionych całą grozą opowieści i baśni ludowych. Mieszkańcy wsi, do tych moczarów przylegających, znają je po części, ale nie na całej przestrzeni. W celu zwidzenia i zbadania ich obrałem sobie przewodnika Wasyla Kardaszewskiego, zwanego Krywyj Wasyl, chromał bowiem na prawą nogę, którą chłopcem jeszcze będąc, spadłszy z wysokiej sosny przy wyprawie na pisklęta wronie, był złamał w samem kolanie. Noga odtąd była wygiętą, co mu wprawdzie nie utrudniało chodu, ale nadawało pozór nieustannego kłaniania się. Krywyj Wasyl był nader ciekawem indiwiduum, naprzód sługiwał dworsko, także u mego ojca, z którym odbył podróż do Warszawy, Kijowa, Odessy, poznał Wołyń, Podole i Ukrainę, przytem znał szewstwo, tkactwo, bednarstwo i wiele innych rzemiosł, a jak sam zwykł był mówić: wszystko potrafię. Potrafił to prawda, ale wcale licho, lecz rybakiem i myśliwym był znakomitym, osobliwie na błotach. Znał naturę każdego zwierza i strzelał wybornie, co jednak dziwniejsze, że prawdziwie po spartańsku był trzeźwym. Owe rozbrojenie całego kraju, o którem wspominałem, dotyczyło wszystkich w okolicy, ale nie krzywego Wasyla. Często chodził na błota i w las, mnogo przynosząc zwierzyny, a na zapytanie, w jaki sposób ją dostaje, odpowiawiadał: sztuką zwierza tłuką. Gdy służył u mego ojca, bardzo mnie lubił, więc z chęcią ofiarował się być moim przewodnikiem we wszystkich moich wycieczkach błotnych i leśnych. Pewnego dnia, w połowie Czerwca r. 1850 wybraliśmy się na błota, on z laską tylko, a ja z moim huzarskim pistoletem, ukrywszy go starannie pod letnią kapotą i zamyślając strzelać do zwierzyny, jeżeli nie w lot, to przynajmniej do siedzącej, co mi się też często udawało. Przystęp do błot tylko od rzeki Sołokii był możebnym, więc usiadłszy w czółno, którem Wasyl kierować umiał po mistrzowsku, odbiliśmy od brzegu. Koryto Sołokij, lubo gdzieniegdzie bardzo głębokiej, nie szerokie, ale kręte, pełne kolan, załomów, z brzegami płaskimi, moczarowatymi. Dziwna to rzeka, rozmaite przybiera kształty, miejscami wąska, iż zaledwo czółno przesunąć się zdoła, a woda głęboka na kilka metrów, powierzchnia zaś jej pokryta przeróżnem zielskiem, od brzegów ścielącem się jak sieć po obu stronach po zwierciadle rzeki. Dno nie mniej pełne roślin wodnych, a szczególnie pokrzywki, owego topielca według twierdzenia ludowego, który pływających w głąb wciąga i w objęciach swych trzyma. Ma to być człowiek z własnej woli utopiony, jakiś wilkołak wodny, czyhający na życie ludzkie. Pokrzywka owa chwyta w swe sieci człowieka, choćby najtęższego pływaka, o czem sam się przekonałem. Pewnego razu wskoczyłem do Sołokii w chęci użycia kąpieli, będąc pewnym, że woda czysta i niezbyt głęboka. Omyliłem się wszakże, co zdawało mi się dnem, było pokrzywką gęstą Dostawszy się do niej uczułem, że woda była zimna jak lód, i jak zwykle mnie odepchnęła ku powierzchni, atoli w tejże chwili jakaś siła pociągnęła mnie za nogi. Po dość długiem, rozpaczliwem miotaniu zdołałem uwolnić się z tych uścisków śmierci, wypłynąłem, ale na brzeg przeciwny. Wypadek ten był o tyle pożytecznym, że nauczył mnie pływać, był to istny popis pływania. Wracam do owej mojej pierwszej wyprawy na błota. Koryto rzeki Sołokii miejscami jakby urywało się raptownie, na środku jej bowiem zjawia się jakoby wyspa zielona z stałego gruntu, ale to tylko gęsta sieć splątanych z sobą korzeni różnych roślin wodnych, z trzciny, której korzenie jak wiadomo do kilkucalowej dochodzą grubości, z rogożyny, której cienkie jakby włókna korzenie na samej powierzchni wody rosną, i plącząc się z sobą jakoby płachta się rozścielają, lub też zwijając się w kłąb, z rośliny przez lud zwanej *lichwarem*, *glistnikiem*, łodygi jej bowiem mają być skuteczne na robaki u dzieci. O skuteczności tej rośliny przekonałem się na źrebiętach, cierpiących na robaki, łodygi tego ziela, w nauce *solanum dulcamare*, po polsku psianką zwane, pocięte jak najdrobniej, mięszałem do obroku, a źrebięta zupełnie wyzdrowiały. Roślina ta rośnie wijąc się jakby chmiel, łodygi jej są raczej prętami i to nie jednorocznymi, lecz stałymi, liść ma drobny, kwitnie najzupełniej jak ziemniaki, tylko kielich kwiatu znacznie drobniejszy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Lwów, 24 Stycznia.

Onegdaj wróciłem z Litwy. Bawiąc tam trzy tygodnie dokładałem wszelkich starań i czyniłem, co tylko było możebnem, by wykaz przezemnie ubitej zwierzyny wzbogacić niedźwiedziem. Anormalna jednak, bezśnieżna tegoroczna zima popsuła mi wszystkie plany i projekta. Napróżno dowiadywałem się wszędzie w znanych myśliwstwach litewskich, ażali nie ma leżących niedźwiedzi, zewsząd słyszałem jedną odpowiedź: śniegów nie ma, niedźwiedzie wstały i niemożna ich wyśledzić. Straciłem już zupełnie nadzieję spotkania się z tym poważnym mieszkańcem litewskich borów, gdy w sam dzień Trzech króli otrzymałem telegraficzną wiadomość od hr. Józefa Tyszkiewicza, że w jego lasach na litewskiem Polesiu niedźwiedzia osaczono. Tego samego wieczora jeszcze pociąg kolei Libawa-Romno unosił mego szwagra Jana Tyszkiewicza i mnie do Bobrujska, zkąd mieliśmy pocztą w dalszą puścić się drogę, a nie małą, bo 32 mil austryackich wynoszącą. Po trzydziestogodzinnej nieustannej podróży na trzęsącej perekładnie wśród dzikiego i pustego kraju, dowlekliśmy się nareszcie do Strażanki, celu naszej wycieczki, gdzie rządzca hr. Tyszkiewicza p. Wojniłowicz, znany w owych stronach jako tęgi myśliwy nas oczekiwał i z gościnnością prawdziwie litewską przyjął i ugościł. Mniej przyjemna przeprawa przez Prypeć pod Mozyrem, na której lody z powodu dwutygodniowej odelgi już były ruszyły, należy do najwybitniejszych epizodów tej długiej i monotonnej podróży. Jak wszędzie tak i tu śniegu nie było, zapewniano nas jednak, że niedźwiedź leży i dotąd nie wstał. W dzień naszego przyjazdu już było za późno urządzić na niego obławę, postanowiliśmy więc zapolować na łosie o trzy mile od Strażanki, a miała się ich tam znaczna ilość znajdować. Jakoż istotnie w ostępie wziętym na przypadek tylko, bo bez śniegu, wypadło w wyciągniętym galopie 6 sztuk łosiów, idąc gęsiego, na linię strzelców między hr. Tyszkiewiczem a leśniczym. Memu szwagrowi strzelba zawiodła, leśniczy zaś powalił celnym strzałem na miejscu idącego przodem pysznego rogala, dziesiętaka. Wszystkie sześć widziałem, ale z powodu ogromnej odległości nie mogłem strzelić. Uszczęśliwieni tem pierwszem powodzeniem wróciliśmy do domu, radzi po tak długiej drodze nareszcie z łóżkiem się spotkać. — Nazajutrz jeszcze ciemna noc była, gdyśmy wyruszali do ostępu, w którym niedźwiedź miał mieć swoją gawrę czyli łochwę, jak ją tam nazywają. Dnia poprzedniego wysłany leśniczy miał polecenie zwołać obławę i polowanie urządzić. Mieliśmy przed sobą 50 wiorst do zrobienia i to polskiej drogi wśród dzikiej puszczy i niedostępnych moczarów. Poznaliśmy tu też po raz pierwszy poleskie groble, niekiedy do dwóch wiorst się ciągnące, po których jazdę w porze, gdy nie ma mrozu i śniegu, do prawdziwych męczarni zaliczyć należy. Nareszcie koło południa ujrzeliśmy w dali okazały czarny bór, w którym niedźwiedź miał się znajdować. Byliśmy na granicy Litwy i Wołynia. Tu powstały nowe trudności, obławy nie było dosyć, psy się gdzieś porozbiegały, musieliśmy parę godzin w domu łowczego przeczekać, nim się Poleszuki z pobliskich wiosek pościągali i psy odnalazły. Prawie zmrok już zapadać zaczął, gdy nas poczęto rozstawiać, mnie na tropie wchodowym. Bezpośrednio przed sobą miałem rzadką brzezinę, w dali odwieczny, czarny, jodłowy bór, na lewo moczar i gąszcz nieprzebyty, w którym w braku innych strzelców chłopa postawiono. Minął kwadrans, pół godziny, cicho i głucho jak w grobie, słychać chyba tylko szybsze uderzenia serc wyczekujących myśliwych. Wreszcie padł strzał sygnałowy i obława huknęła gdzieś w dali, jakby za światem. Znowu minęło kilka minut, gdy wtem zdało mi się, że słyszę jakiś łomot w ostępie. Wytężyłem słuch, w istocie łomot stawał się coraz wyraźniejszym i bliższym. Serce mi młotem walić zaczęło, byłem pewny, że niedźwiedź na mnie idzie. — Krótko jednak trwała ta illuzya, po chwili usłyszałem na lewo od siebie w gąszczu trzask gałęzi, kłapnięcie strzelby, potem silne mruczenie i — skończyło się polowanie. Niedźwiedź, sądząc według tropu niezwykłej wielkości, wyszedł był na kilkanaście kroków na chłopa, który kłapnął i rzuciwszy strzelbę wydrapał się na drzewo, niedźwiedź zaś mruknął tylko i uszedł. Podupadli trochę na duchu, wróciliśmy do Strażanki, postanowiwszy nazajutrz jeszcze po raz ostatni szczęścia na łosie spróbować i wieczorem z powrotem do Bobrujska się udać. Widocznie jednak św. Hubert nie sprzyjał nam w tej wyprawie. Znowu były łosie w ostępie, widziałem na paręset kroków defilujące w rzadkim bardzo lesie, wyszły jednak bokiem. Na tem zakończyliśmy polowanie w tych stronach, wsiedli na perekładnę i ruszyli ku Bobrujskowi. Lubo nie mogę się pochwalić żadnym namacalnym rezultatem naszej expedycyi, pragnąłem jednak podzielić się doznanemi wrażeniami z naszymi myśliwymi, a spodziewam się, że gdy w roku przyszłym normalna zima zawita, będę mógł nie o jednym zabitym niedźwiedziu szanownym czytelnikom „Łowca“ relacyę moją złożyć. *Józef hr. Potocki.*

Kutkorz, 20 Stycznia.

Odezwa do moich sąsiadów. — Wiadomo, iż tylko wspólnemi siłami pracując można dojść do pożądanych rezultatów, odzywam się przeto do moich zawsze mi miłych sąsiadów, aby mi pomagali w staraniach o pomnożenie zwierzyny, niszczyli jastrzębie, osobliwie gołębiarze, lisy, koty i psy włóczące się, kruki, kuny i łasice, a zaręczam, że będziemy mogli w naszym okręgu doprowadzić zwierzynę do świetnego i wzorowego stanu. Jeżeli zechcą wraz zemną w chwilach dla zwierzyny krytycznych, mianowicie podczas nawalnych śniegów i gołoledzi, gdy się uformuje twarda skorupa śniegu, oraz na wiosnę, karmić sarny, zające i kuropatwy — to niezawodnie w krótkim czasie koszt ów wypłaci się im z sutym procentem. Wydatki w istocie są bardzo małe, płacę za jastrzębie, lisy, kuny, psy, koty i łasice, płacę służbie leśnej po 50 cnt. za ubitego rogacza, a 10 c. za zająca, a mimo tego jedno polowanie zwraca mi ze znaczną nadwyżką ów koszt. Zdaje mi się jednak, że ja sam tylko w okręgu moim tak postępuję, z tego powodu nie mogę osiągnąć pomyślnych rezultatów, których pragnę dla całego sąsiedztwa. Wprawdzie przyczyniam się do pomnożenia i utrzymania zwierzyny, ale bez wzajemnej pomocy sąsiadów rozprasza się ona po kilkomilowej przestrzeni bezpowrotnie. Niszczenie zwierząt drapieżnych nie daje mi także odpowiednich rezultatów, bo podobny jestem do tego, który wybija komary w pokoju nie zamknąwszy okna, przez które nowa ćma wlatuje. Tak też rzecz się ma co do drapieżników, ja ich tępię, a z sąsiedztwa nieustannie inne się pojawiają.

Kończę moją odezwę z głębokiem przekonaniem, że szanowni i łaskawi sąsiedzi moi pomogą mi w moich usiłowaniach i sobie korzyści przysporzą, a wtedy wszelka zwierzyna w krótkim czasie rozmnoży się na niezawodny pożytek myśliwych i gastronomów, czego z całego serca sobie, sąsiadom moim i całemu krajowi życzę. *Henryk hr. Łączyński.*

KRONIKA.

✝

Świeża mogiła pokryła zwłoki jednego z najznamienitszych członków Tow. łow. **Józefa Tyszkowskiego**. Nie naszą rzeczą wpominać o jego obywatelskich zasługach, dosyć nadmienić, iż był on posłem na sejm krajowy i w Radzie Państwa, nader gorliwym zawsze orędownikiem spraw krajowych. Łowiectwo traci w nim jednego z niewielu już myśliwych starej daty, prawdziwie rycerskiego zwolennika łowów. Rozgłośne w kraju są jego wyprawy na niedźwiedzie, o których już dawniej w Piśmie naszem wzmiankowaliśmy. Postaramy się o szczegółowe o tych wyprawach wiadomości, które należy przekazać pamięci myśliwych jako wzór godny naśladowania. Niech naoczni świadkowie jego trudów myśliwskich pospieszą nam z pomocą w tym względzie.

Zmarłemu poświęcamy rzewne wspomnienie!

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieck.

Borowski Maciej Skarbek.	Lubomirski Andrzej ks.
Brunicki Konstanty br.	Münter Edward.
Bujnowski Tytus.	Niemojowski Wincenty.
Chmielewski Ferdynand.	Niemojowski Nepomucen.
Cieński Tadeusz.	Romer Zygmunt hr.
Cieński Stanisław.	Sander Edmund.
Dembowski Ignacy.	Schnurpfeil Edmund.
Grochowalski Wiktor.	Skolimowski Józef.
Jordan Kazimierz.	Ursel Wilhelm.
Kozicki Edward.	Wiktor Adam.
Lanckoroński hr.	Żurowski Stanisław.

Niefortunne łowy literata.

„W bardzo skromnej pozyturze,
I z daleka i na górze".
Książę biskup Warmiński.

O rozkoszy polowania
Jak gorąco wielbię cię,
Od samego już zarania
Wszystko kwaśne, sprzeczne, złe,
Bo i kawa przydymiona
I śmietanka też zwarzona,
Aż klucznica włosy rwie!

A od stajni, harapnika
Odgłos już powietrzem mknie,
Biedny psiarczyk łzy połyka,
I za łydkę chwyta się;
Psięta uszy swe zwiesiły,
A dojeżdżacz co ma siły
W niebogłosy wrzeszczy, klnie!

I z niewielką też ochotą
Łowców grono dąży w las,
Ten dryndulką, ów piechotą
Klnąc wilgotny, dżdżysty czas,
I ja z tyłu, w czoła pocie
Drepcę, marząc o powrocie.

Gdzież mam stanąć, by zająca
Choćby zdala ujrzeć skok?
Ten mnie łaje, ów potrąca,
Więc się zwrócę chyba w bok.
Jak najdalej od tej rzeszy,
Co przechwałką czasem grzeszy!...

Siadam, dumam i rachuję!
Ile liści ma osika....
Ktoś z daleka gdzieś pudłuje...
Ku mnie szarak nie pomyka —
Przeczytałem trzy gazety,
Ziewam, wstaję, siadam dalej...
A na domiar klęsk niestety
Kapuśniaczek sobie wali.

Czemużem się człowiek słaby
Zwabić dał na gody te?
Czyż nie milej grać w warcaby,
I w marjasza bawić się?

Lub gdzie hoże są dziewoje,
W grę o fanty z niemi grać,
I najmilszej chęci swoje
Lub coś więcej w zastaw dać?

Lecz cóż mówię? wolę przecie
Groźnych łowców ciemny las,
Gdzie mnie zwodne nie znajdziecie,
Gdzie nie ujrzę więcej was;
Wolę lichych piesków parę,
Dojeżdżacza, który klnie,
Niżli złudną gonić marę,
Widmem szczęścia poić się!

Toż dopiero przy butelce
Jakiż hałas, rwetes, krzyk!
Ten przysięga na widelce,
Że go z konia strącił dzik;
Temu się pomknęła łania,
Ależ psy gałgany, złe...
O rozkoszy polowania
Jak gorąco wielbię Cię!!

Krótka praca, długa wrzawa,
I przechwałek głośnych moc...
Na tem kończy się wyprawa,
Kiedy bieda — wtedy hoc!...
Byłże przecie plon uczciwy,
Aby humor zatrzeć zły?
Pół zająca niósł myśliwy,
Bo połowę zjadły psy!...

Zamek Dubiecki, 6 Stycznia. *A. Kr......*

---

12 Lutego.

Od 9 do 15 Stycznia polował ks Adam Sapieha w swoich dobrach podolskich w Bilczu w 12 strzelb. Przez cały czas odwilż i dnie piękne wypędziły wszystkie niemal zające z lasów w pole, a kilka razy spotykane świeże ślady wilków spowodowały, że w tym roku padło tu rogaczy mniej, jak zwykle. Brak śniegu nie pozwalał dziki tropić, więc znowu trzecia przyczyna, dla czego polowanie Bilczeckie, jedno z najpierwszych w kraju, dało w tym roku nie tak świetny rezultat, jak w latach poprzednich. Nie obeszło się też bez epizodów. W jednym miocie naganka dała znak krzykiem, że są dziki. Sztućców ze sobą nie mieliśmy, i ledwie zdołałem włożyć jedną kulę, ujrzałem po dwóch strzałach moich sąsiadów idącego na mnie galopem dwuletniego wycinka, w myśliwskim języku krawcem zwanego. Strzeliłem — kula musiała go dobrze trafić, gdyż rulował na miejscu, lecz po kilku sekundach miotania się na ziemi wstał i kilka razy kłapnął. Nie chcąc strzelać śrótem, wsunąłem w lufę drugą kulę i posłałem ją za nim. Skutek był taki, jak pierwszej, odyniec idąc wolnym kłusem szarżował wprost na hr. Stan G., który strzelił do niego na kilka kroków, lecz kula musiała pójść w miękkie, bo dzik nią nie wstrzymany rzucił się na strzelca, a ten miał tyle tylko czasu, że na krok odskoczył od ławeczki drewnianej, przy której stał. Rozjuszony odyniec odbija kłem wierzch ławki i przesuwając się między słupem a drzewem, obkrwawia je swą juchą zupełnie i przechodzi przez linię. To nie przerwało polowania, a wysłani przez księcia dwaj myśliwi doszli dzika o kilkaset kroków, lecz ponieważ znaleźli go jeszcze gotowego do walki, użyli zamiast kordelasa strzałów, aby go dobić. — Księciu gospodarzowi, miłemu jak zawsze i uprzejmemu dla swych gości, pomagali trzej synowie, równie jak on gościnni i wprawni w robieniu honorów domu. — W sześciu dniach na 864 strzałów padło: 3 dziki, 7 lisów, 47 rogaczy i 359 zajęcy, razem 416 sztuk. Dodać muszę, że na 47 rogaczy nie zabito ani jednej kozy, co nader pochlebnie świadczy o drużynie myśliwskiej Bilczeckiej, gdyż o ile mi wiadomo, padały te niewiniątka często w tym roku śmiercią niezasłużoną.

S. O.

Lwów, 3 Lutego.

Szanownemu zwolennikowi Teschnerówek p. T. Żurowskiemu w odpowiedzi, zwracam uwagę, że w całej obronie tego systemu nie wykazał oprócz dobroci strzału i gustu osobistego żadnej zresztą jego strony dodatniej, co wszakże uczynić należało, jeżeli znaczenie moich uwag o tym systemie miało być osłabione. Zmuszony przeto jestem odwołać się do artykułu p. T. Z., dotyczącego tego przedmiotu, umieszczonego w 3cim

numerze „Łowca“ z r. 1878, o którym sz. mój przeciwnik zdaje się zapominać. W artykule tym wylicza p. T. Z. następujące zalety Teschnerówek: 1. Uderzającą na pierwszy rzut oka pojedyńczość konstrukcyi, gdy ja starałem się udowodnić źle maskowaną i niebezpieczną komplikacyę; 5. Pojedyńczy przyrząd asekuracyjny, według mego zdania nieodpowiedni i bałamutny. W dalszym wywodzie tego ustępu podnosi p. Z. bardzo pożądaną zaletę wylatywania wraz z nabojem po strzale rurek nabojowych, które przy Lefoszówkach czasem obcęgami wydobywać trzeba, ja zaś twierdzę, iż właśnie przy Teschnerówkach zbyt często bez wetknięcia palca w gardło lufy w celu wydobycia niedopałków papieru obejść się nie można, poczem dopiero spełniają prawidłowo swe funkcye z ujmą w szybkości nabijania pod l. 2 przez p. Z. podniesionej. Niewłaściwy materyał cynku użyty do skówek Teschnerowskich hamuje, a często paraliżuje zupełnie czynność extraktora (pod l. 4 wymienioną). Cynk skówki nabojowej jako miękki ociera się i oskrobuje o ostry kant gniazda nabojowego, nagromadza się w wystającym karbie skówki, i tem utrudnia zamknięcie, a nadto powoduje uchylanie się na bok i wymykanie jednej albo i obu skówek od ujęcia extraktorem. Myśliwy wyprowadzony w ten sposób na bardzo niemiłe i trudne X, musi pożądać wtedy właśnie owych obcęgów, o których p. Z. wspomina. Przyznaję, iż co do dobroci strzału dają l u f y Teschnera zupełną rękojmię, bo każda z nich istotnie b r a n a n a s t r u n ę i t. d., gdyby to było zaletą systemu, gdyby równoważyło wykazanemu przezemnie niebezpieczeństwu, i gdyby ta zaleta była udowodnioną wyłącznością Teschnerówek, czułbym się zupełnie pokonanym. Tak jednak nie jest, więc ja od mego na teoryi i praktyce opartego przekonania odstąpić nie mogę. Przydałby się bardzo w tym celu turniej strzelecki z rozmaitymi systemami broni, który niniejszem proponuję. A ponieważ p Z. powołał się na powagi w świecie łowieckim, przezemnie niemniej cenione, to i ja oczekując ich zdania w tej sprawie, ośmielę się oprzeć na szkole myśliwskiej ś. p. Aloizego Strzeleckiego, z której pochodzę. *L. Weeber.*

Wróblewo, 5 Lutego.

Dnia 9 Stycznia polowaliśmy w 15 myśliwych u p. Edmunda Żółtowskiego na Myszkowskich polach. Zabito 248 zajęcy, trzy lisy uszły szczęśliwie. Dogadzając życzeniu kilku moich sąsiadów polowałem u siebie w Wróblewie 17 Stycznia na polu w 7 strzelb. Dwa mioty były wzięte na polach zadzierżawionych u włościan, inne na dominialnych. Polowaliśmy od godziny 11 do 3, strzelano dosyć dobrze, lecz nie było zwierzyny, zabiliśmy tylko 141 zajęcy. Ponieważ u mnie kontrola zaprowadzona i sprawdza się, ile samców i samic pada, więc się okazało, że z ogólnej liczby ubitych zajęcy było 105 samców, a 36 samic, co dla mnie jest dowodem, że z powodu przewagi samców liczba zwierzyny znacznie się zmniejszyła. Od czterech lat nie polowano na tych polach, z rezultatu przekonuje się, że gdzie się już doszło do lepszego stanu zajęcy, nie warto ich tak długo ochraniać, i przynajmniej co dwa lata polować. *Zbigniew hr. Kwilecki.*

Wola, w Styczniu.

W r. z. w wigilią Bożego Narodzenia polowałem w Dołpotówce (pow. Kałuskim), majątku Fr. Rozwadowskiego. W trzy strzelby zabiliśmy 14 zajęcy, 3 kozły, lisa i puhacza. Stan sarn znaczny, a najlepszym tego dowodem, że w każdym z sześciu miotów, które wzięliśmy, widziano po kilkanaście sztuk. Dziki z powodu dużej przestrzeni, która każdego z nas od siebie dzieliła, wyniosły się w sąsiednie lasy Wojniłowskie. Lisów nadzwyczaj mało w tym roku, bo zaledwie trzy widzieliśmy, gdy w innych latach zwykle do kilku w każdym miocie strzelano. W ciągu kilku godzin padło strzałów 36. *Wł. Wiktor.*

Exc. hr. Włodzimierz Dzieduszycki polował w licznem gronie zaproszonych gości w lasach do dóbr Poturzyckich należących od 13 do 20 Stycznia. Ubito: 4 wilki, 18 dzików, 16 rogaczy, 53 zajęcy, 6 lisów, 1 jarząbka, 1 orła. Strzałów padło 426. Stan zwierzyny pomyślny, sarn wszakże mniej jak zwykle z powodu wilków.

Do muzeum im. Dzieduszyckich przysłano czarnego zająca. Zabito go w Konarzewie (W. Ks. Pozn.) w ogrodzie. Odmiana taka niesłychanie jest rzadką. Pismo *Weidmannsheil* z dnia 1 Lutego b. r. podaje: „Ubito przed 14 dniami zwierzę niezmiernie rzadkie w zachodniej Europie — czarnego zająca, w Peterwitz na Szlązku. Ile wiadomo, drugi to tego rodzaju egzemplarz zabity w tym kraju. Podczas gdy ta odmiana niesłychanie jest rzadką w zachodniej Europie, należy ona w wschodniej Europie, szczególnie w gubernii Mohilewskiej, do pospolitych“.

Dowiadujemy się, że w Starzawie, powiecie Dobromilskim ubito 4 rysie, i z tych to dwa ofiarował Dyrektor Siegler de Eberswald dwa do Muzeum im. Dzieduszyckich. Zarząd tegoż Muzeum składa mu niniejszem za ów dar cenny szczerą podziękę. Jednego z tych rysiów ubił podobno chłop w swojej zagrodzie jako nieproszonego, a groźnego dla jego dobytku gościa. Drapieżnik tak srogi winien być na każdem miejscu i o każdej porze ściganym i tępionym, lubo z drugiej strony żal przejmuje szczery, iż owa prawdziwa ozdoba naszej fauny górskiej wkrótce do szczętu wytępioną będzie, i w Muzeach tylko okazy jej pozostaną.

Warszawa, Styczeń.

Jako prenumerator „Łowca“ z zazdrością czytam doniesienia o różnych stowarzyszeniach myśliwskich i polowaniach, jakie one sobie urządzają. U nas w Królestwie jest tylko jeden tak zwany „Klub myśliwski“, ale to firma maskująca cel inny, albowiem wpisowe do tego klubu wynosi około 150 złr., która to wkładka zbyt jest wysoką dla myśliwych w ogóle. Zbierają się członkowie klubu nie dla narad nad konserwowaniem i ochroną zwierzyny, którą kłusownicy tępią niemiłosiernie, lecz dla zgrywania się w karty i sutych bankietów, cel więc jest zupełnie chybiony, bo prawdziwy myśliwy nie ma interesu należeć do takiego towarzystwa, w którem jest tylko mowa o maczku, sztosie i tym podobnych przedmiotach, a o środkach pomnożenia zwierzostanu, który z każdym dniem bardziej chyli się ku upadkowi, nie ma wcale wzmianki. Mamy Ustawy łowieckie, nawet wcale niezłe, ale tylko na papierze, bo stróże tych praw t. j. straż ziemska nie widzi nigdy żadnych wykroczeń, a nawet sama pomaga do tępienia zwierzyny, albowiem każdy z tych panów jest myśliwym i ma to przekonanie, że mu wszędzie i o każdej porze polować wolno. Tak więc gospodarstwo łowieckie dąży szybkim krokiem ku upadkowi, i jeżeli temu złemu rychło nie zaradzimy, to wkrótce zając i kuropatwa, nie mówiąc o innej zwierzynie, będą znane tylko z opowiadań i z okazów przechowanych w gabinecie zoologicznym. Proszę przeto zwrócić uwagę w „Łowcu“ na te smutne u nas stosunki łowieckie, a może Bóg da, że słowa te nie będą głosem wołającego na puszczy. *Myśliwy.*

Kutkorz, 22 Stycznia.

Gdy pierwsze, jesienne, tak silne mrozy po deszczu utworzyły skorupę śliską i twardą, a pączki u krzewów skrystalizowały się, mieliśmy szkodę dość znaczną w kicach i młódkach. W rewirze Kutkorskim znaleziono trzy małe sarneczki, w Bałuszyńskim dwa rogaczyki a w Nowosieleckim także dwie sztuki zamarznięte. — Pomimo karmy, którą rozwożono w znacznej ilości, nie byliśmy w stanie dostarczyć jej tyle, ile w pierwszej chwili było potrzeba. *Henryk hr. Łączyński.*

Kopeczyńce, Styczeń.

Wykaz ubitej r. 1881 w dobrach hr. Józefa Baworowskiego zwierzyny: dzik 1, rogaczów 12, zajęcy 124, bażantów 45 (na rok 1882 pozostało 120 kur i 14 kogutów), słonek 25, krzyżówek 18, kuropatw 49, dubeltów 5, kszyków 25, przepiórek i chruścieli 213, gołębi 44. Szkodliwej zwierzyny: wilk 1, lisów 6, psów różnych 36, kotów 13, łasic 8, jastrzębi 31 (z tych 21 złowionych w klatce), kań 18, krogulców 3, sów 7, wron 14, srok 21, różnego drobiazgu 17, razem sztuk 745. Przy tej sposobności zapytuję, czy kto nie ma na sprzedaż wielkiego puhacza, i w jakiej cenie? *Fr. Sauszek.*

Poznań, w Styczniu.

U nas nie ma mowy o zabawach, jedyną głośniejszą rozrywkę stanowią łowy, które świetnym rezultatem świadczą o rozkwicie myśliwstwa w dzielnicy naszej. Cyfry ubitej zwierzyny mogą iść o lepsze z czeskiemi polowaniami. Dość przypomnieć, iż u hr. Mielżyńskiego w jednym dniu, a w cztery strzelby ubito przeszło 500 zajęcy. Polowania u ks. Czartoryskiego w Sielcu, u hr. Gorzeńskich — Ostrorogów, u p. Potockiego, u hr. Żółtowskich celowały nad innemi. W kilku miejscach i piękne panie wyszły na stanowiska, dzieląc z małżonkami lub braćmi tryumfy myśliwskie. Mnogość zwierzyny świadczy o kulturze podniesionej i ogólnem pielęgnowaniu rozwoju myśliwstwa, z którego nasze księstwo słusznie się chlubi, ochotnie zapraszając gości z innych dzielnic do uczęstniczenia w dorocznych zimowych polowaniach. Czas jedynie nie bardzo sprzyjał tym zapasom, bo dotąd nie mieliśmy prawie mrozów, a zbyt łagodna pora utrudniała i zabawy myśliwców i odbyt zwierzyny, wysyłanej przeważnie do Paryża lub innych dalekich stolic. Zresztą nie długo już potrwa pora tak miłej i rycerskiej zabawy. *Tyg. Ilustr.*

C h o r o b y p s ó w i i c h l e c z e n i e. — Pies jest wiernym towarzyszem człowieka i prawdziwym jego przyjacielem. Pies obdarzony powabem kształtów, żywością, siłą, lekkością ruchów, a przytem zmysłno-

ścią i uczuciem, zaprawdę zasługuje na szczególną uwagę człowieka. Nie chcę tu o nim mówić, gdy w stanie dzikim staje się groźnym dla wszelkiego bezbronnego stworzenia, zwrócę się tylko ku ułaskawionemu. Komuż nie znane jego przymioty? U nóg swego pana chętnie składa mu w darze swą odwagę, siłę, wyczekuje bacznie jego rozkazów, skinień, z gorącem uczuciem objawia mu swe przywiązanie, wdzięczność i poświęcenie. Krzywdę nawet sobie wyrządzoną znosi z pokorą, łatwo o niej zapomina, i tylko jękiem boleści skarży się. Człowiek odjął mu przyrodzoną wolność, przykuł do siebie, naraził go przez to na cierpienia i choroby, wynikłe z niewłaściwego trybu życia i pożywienia, ma przeto obowiązek nieść mu skuteczną pomoc. Najstraszliwszą chorobą u psów jest wścieklizna, której przyczyna dotąd nie jest zbadana. Sprowadzać ją mają nagłe rozgrzanie lub oziębienie, spożycie ścierwa zjadliwego lub wreszcie powstrzymywanie psa od łączenia się płciowego. Że te powody są słuszne, nie przeczę, długoletnie jednak doświadczenie wskazało mi jeszcze inną przyczynę wścieklizny. Każde zwierzę na wolności o wiele mniej podpada chorobom, jak oswojone, a tem bardziej zwierzę drapieżne, jakiem z natury jest pies. Nie wiadomy mi wypadek wścieklizny u psów dzikich. Dosyć nadmienić o tysiącach psów takich, żywiących się w Konstantynopolu i innych miastach tureckich odpadkami wyrzuconymi na ulicę, nie pielęgnowanych przez człowieka, wystawionych bądź na ostre zimno bądź na żarzące gorąco — wścieklizna ich nie nawidza. Od młodych lat myśliwy, posiadający psy rozmaitej rasy, przebywając w rozmaitych krajach, miałem sposobność przekonać się, że choroby psie, mianowicie wścieklizna, nosacizna *(Staupe, Rotz)* lub zwyczajna psia choroba *(Handeseuche)* najczęściej wydarzają się w wielkich miastach, gdzie psy pozbawione wszelkiej wolności i niewłaściwie hodowane bywają. Najbardziej pojawiają się te choroby w Rossyi, w Królestwie Polskiem, w Galicyi i w Węgrzech, rzadziej w krajach południowych. Również uważałem, że w krajach, w których ogół żywi się przeważnie kartoflami, i takowe jako żywność psom podaje, psia choroba i nosacizna, a w ich następstwie wścieklizna znacznie częściej się pojawiają. Przystępuję do praktycznego leczenia psich chorób, zapobiegania wściekliźnie, oraz do mylnego nader często determinowania tej choroby. Naprzód wspomnę o nosaciźnie *(Staupe, Rotz)*. Podpada jej niemal każdy pies, a więcej jak trzecia część źle leczonych ginie. Powodem tej choroby i jej groźnych skutków jest nienaturalne hodowanie i wychowanie młodych psów, ztąd zwykle nawidza ona psy w pierwszych latach życia. Rozwija się ta choroba w skutek gęstnienia i wadliwego krążenia soków, szczególnie osadza się w żołądku gęsty śluz, który uchodzi nosem, w razie zaś, gdy w żołądku pozostanie i na zewnątrz nie uchodzi, staje się chorobą nieuleczalną. Gorący, suchy nos, nieustanne prychanie i kaszel, częste wymioty, przy których jedynie gęsta, zielonkowato-żółta flegma się pojawia, są pierwszemi znamionami tej choroby. Jeżeli głowa nabrzmieje, oczy zakisną i wypływ z nosa się okaże, wówczas rokowanie staje się pomyślnem, lecz gdy pojawiają się kurcze i porażenie grzbietu, to wyleczenie bywa nader trudne, a chociaż się uda, traci pies wiatr w skutek ostrych i drażniących leków, chudnie i staje się dla myśliwego zupełnie niepożytecznym. Znamiona nosacizny są tak rozmaite, iż bardzo często pies tą chorobą trapiony uważany bywa jako wściekły, i bez leczenia na śmierć skazany. Ileżto takich psów najlepszej rasy ginie z powodu nieumiejętności rozpoznania choroby! — Z mego doświadczenia przytoczę kilka wypadków. Miałem psa rasy kurlandzkiej, polowałem właśnie z nim na błotach, nagle przewrócił się, zerwał, zawył i obces rzucił się ku mnie, stanął w obec mnie, począł toczyć pianę, dostał kurczów i w nich po krótkiej chwili zginął. — Suka angielskiej rasy trzech-letnia rano żarła normalnie, w niczem chorobliwego stanu nie objawiała, wieczorem już strawy nie tknęła, nos był suchy, oko smutne. Dałem jej zaraz na przeczyszczenie, w nocy dobywała się do mego mieszkania i skomliła, rano już jej nie było. Trzeciego dnia dowiedziałem się, że pojawiła się nazajutrz o cztery mile, goniła za psami i drobiem, gryzła je, wreszcie właściciel wsi zawołał ją, przyczołgała się do niego i łasiła się, poczem zastrzelił ją jako wściekłą. — Na Węgrzech zdarzył mi się następny wypadek. Wychodząc z mieszkania znalazłem wyżlicę wygłodniałą i wychudłą, na zawołanie zbliżyła się ku mnie wesoło, więc dałem jej mleka z wodą, następnie odpowiednią strawę, którą chętnie żarła. Wkrótce odzyskała ścierwo i siły, a była wybornie ułożoną i miała doskonały wiatr. Służyła mi przez dwa lata, a gdy pobyt mój zmieniłem i zamieszkałem w Segedynie, opowiadał jednego wieczora pewien myśliwy i amator psów, że przed dwoma laty wściekła mu się bardzo dobra angielska suka, uciekła z domu i przepadła. „Dziwny traf, odrzekłem, właśnie taka według opisu wyżlica zjawiła się przed dwoma laty u mnie, i mam ją dotąd“. Kazałem służącemu przyprowadzić ją, a gdy dawny właściciel „Norma“ zawołał, rzuciła się jak szalona ku niemu, łasząc się i liżąc mu twarz i ręce. Zwróciłem mu ją. Nikt nie umiał wyjaśnić tego nagłego popędu do wędrówki u suki, a należy dodać, że miejsca pobytu naszego były wówczas o 16 mil od siebie odległe. Wszak nieraz się to zdarza, że pies najlepszej rasy zjawia się w obcem miejscu, jak mówią „przybłąka“ się, i w niem pozostaje, a w miejscu swego pierwotnego pobytu pozostawia wspomnienie, że był chory, żreć nie chciał, psy pokąsał, uciekł i zaginął, lub jako wściekły był zabity. Wszystkie takie wypadki są zwykle skutkiem nosacizny. Choroba ta wywołuje u psa dotkliwe boleści w żołądku, które ostatecznie uderzają na mózg, wtedy miota się, gryzie wszystko, drzewo, słomę, trawę, nawet ziemię. Nienaturalny ten ciężar w żołądku wywołuje wymioty, lecz to nie wystarcza, bo chorobliwa flegma w żołądku nie wydzieli się wymiotami i pianą, chyba że pies znajdzie jakąś trawę lub ziele pobudzające do najforsowniejszych wymiotów, wtedy flegma wyjdzie i pies wyzdrowieje, dzieje się to jednak bardzo rzadko. Gdy flegma pozostanie w żołądku, pies musi zginąć. Przy sekcyi znajduje się w żołądku psów chorych na nosaciznę słomę, własne włosy, kawałki drzewa lub inne podobne, niestrawione przedmioty. Taki pies uważany bywa za wściekłego, mógł być nim, ale też może jeszcze u niego w skutek nosacizny wścieklizna nie nastąpiła. Lubo zakład leczniczy w Wiedniu stanowczo przeczył memu twierdzeniu, jakoby nosacizna w następstwie wywoływała wściekliznę, i dowodził, że te dwie choroby żadnej z sobą nie mają styczności, ja jednak ośmielam się oparty na długoletniem doświadczeniu utrzymywać, iż na tysiąc psów, uważanych jako wściekłych, zaledwie pięć nawidzone były tą chorobą, a gdy dotąd przyczyna wścieklizny nie jest wyjaśnioną twierdzę, żę ona jedynie w skutek nosacizny się rozwija. Popieram to zdanie moje następnemi świadectwami. Według mniemania słynnych myśliwych br. Ludwika Herdt von Hutten, Döbla, Dictricha aus dem Winckell, Bechsteina i innych, pojawia się u psów cierpiących na nosaciznę w najwyższym stopniu tak zwana ukryta wścieklizna, z tego powodu należy przy podawaniu leków choremu psu zachować pewne ostrożności, mianowicie wdziewać rękawiczki, bo piana nawet wydzielająca się jest zatruta. Już to zdanie wskazuje związek nosacizny z następną wścieklizną. Silny pies nawidzony nosacizną nie rychło jej ulegnie, zgęstnienie soków i osadzenie się flegmy w żołądku zwolna zatruwa krew, ból dojmujący doprowadza psa do szału, rzuca się na wszystko, co mu staje w drodze i kąsa, lecz jedynie w celu uspokojenię tego bolu. Rzecz naturalna, że przy takich dotkliwych cierpieniach, przy stężeniu soków wytwarza się jad, który zmięszany z krwią ludzi czy zwierząt wywołuje podobny chorobliwy szał. Prócz owego szału, sprowadza nosacizna inne, różnorodne choroby, jak: kaszel, uwiąd, ślinogorz (dławicę), puchlinę, a niekiedy zwłaszcza stary pies pada nagle i ginie, lub dostaje zawrotu głowy, kręci się albo biega w koło, uderza o przedmioty stojące w drodze, napadają go kurcze, oczy zabiegają mu krwią i stają słupem. Ataki te trwają po kilka minut, poczem pies odzyskuje przytomność i jest pozornie zdrów, ale po kilkukrotnych takich napadach siły go opuszczają i zdycha. — Tak zwana choroba psia *(Hundeseuche)* podobną jest do nosacizny, lecz nie tyle złośliwą. Zwykle rozpoczyna się zakisaniem oczów, w skutek czego pies ślepnie, przytem traci siły, jeść niechce wiele spi, ostatecznie traci władzę w tylnych nogach i wlecze je za sobą. Również okazują się pod brzuchem ropiące pęcherzyki, brzuch nabrzmiewa, a śluz wodnisty ciecze z pyska i z nosa. Choroba ta trwa zwyczajnie 8 do 12 dni, gdy wszakże wcześnie się nie radzi, nawet rok cały, a wtedy pies na zawsze pozostaje kaleką *(kreutzlahm)*.

Uwagi te moje opieram na długoletniem własnem doświadczeniu, nie na teoryi, sam straciłem wiele psów rozmaitej rasy, używałem rozmaitych środków bezskutecznie, aż wreszcie udało mi się wynaleść środek nieomylny. Od lat ośmiu żaden mi pies nie zginął na nosaciznę i następcze jej choroby, jakoteż na psią chorobę, wiele też cudzych psów wyleczyłem, przez weterynarzów na śmierć wskazanych. Pigułki moje zawierają składniki mineralne, a przeważnie extrakty z ziół. Pigułki te mają jeszcze i tę zaletę, że w przeciągu lat nie tracą swej siły, i wcale nie nadwerężają organizmu zwierzęcego, co się zwykle dzieje przy używaniu silnych środków, iż psy tracą węch, siły, wytrwałość w biegu itd. Dla wypróbowania tych pigułek przez myśliwych składam je u pana Sekretarza Towarz. łow. 3 pigułki kosztują 80 ct., 6 1 złr. 50 ct, 12 3 złr. wraz z opisem użycia i pielęgnowania chorego psa. Po zadaniu trzech, a w wysokim stanie choroby czterech pigułek chory pies niezawodnie odzyskuje normalne zdrowie.

Karol Hostoński.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.